







12 1/2 1/2 1/2



1  
102  
Teodor Jeske-Choiński.

# Na straconym posterunku. 12

Dramat współczesny w 5 aktach.

*(Zastrzega się prawa autorskie wobec scen i tłumaczyów).*

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 25-68-63

WARSZAWA.

NAKŁADEM „NIWY“

—  
1891.

<http://rcin.org.pl>

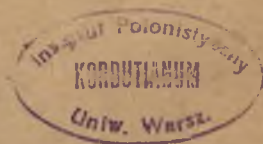
N. 124/37.

Дозволено Цензурою.  
Г. Варшава дня 31 Января 1891 г.

4143

Nr inw.

Druk E. Lubowskiego i Sp. Mazowiecka 8.



<http://rcin.org.pl>

## O S O B Y:

IZYDOR KRONGOLD, bogaty kupiec (lat 55).

AMELIA, jego córka (lat 20).

SARA, jego siostrzenica (lat 22).

HENRYK PROSZOWSKI (lat 35).

RABIN (lat 40).

FRUCHTBAUM, kupiec zbożowy.

CUKERWASSER, handlarz koni.

POSTBRIEF, arendarz.

FAJNKORN, sekretarz Proszowskiego.

BUTTERMILCH, oficjalista Proszowskiego.

RYFKA KORNFELD (lat 60).

STARY ŻYD.

DRUGI STARY ŻYD.

STANISŁAW LACHOWSKI, właściciel ziemski,  
(lat 60).

LUDMIŁA LACHOWSKA, jego żona (lat 55).

AMBROŻY, służący Lachowskiego.

PIOTR, służący Krongolda.

JASĆ, lokajczyk Proszowskiego.

Strzelcy — Żydzi — Chłopi.

Rzecz dzieje się współcześnie w jednym z miasteczek prowincjonalnych, w miesiącu sierpniu. Akcja rozgrywa się w przeciągu trzech dni. Trzy akty ostatnie w jednym dniu. Akt pierwszy odbywa się w gabinecie Krongolda; drugi, w gabinecie Proszowskiego; trzeci, w izbie kachalnej; czwarty, w parku Lachowskich; piąty, na cmentarzu żydowskim.





## AKT PIERWSZY.

### SCENA I.

Lokaj PIOTR, FRUCHTBAUM, POSTBRIEF.

PIOTR (w chwili, gdy się zasłona podnosi, stoi na progu i woła za scenę).

Tędy, tędy! Tylko buciska wyczyścić dobrze o szczotkę, żydy, i zdjąć ze łba jar-mułki, bo tu nie bóżnica!

*(Wchodzą Fruchtbaum i Postbrief, pierwszy sunie krokiem lisa ku środkowi, drugi zatrzymuje się z pokorą przy drzwiach. Przez chwilę oglądają się obydwaj ciekawie po gabinecie, twarze ich wyrażają podziw).*

POSTBRIEF.

Cy! Cy! Kikste Mojszel jakie tu stancye jest! Jakie bogactwo. Żebym ja tak szczęście widział, jak ja u mojego dziedzica takie stancye nigdy nie widział.

FRUCHTBAUM.

Co za dziw, porachuj no, ilu takich dziedziców, jak twój, zjadł reb Jozef Krongold, zanim się zrobił pan Izydor Krongold.

POSTBRIEF.

Na moje sumienie, to prawda jest. Un sobie łykał lasów, budynków, gorzelniów, un sobie łykał wszystko z takim smakiem, jak biedny żydek kawałeczek śledzia sobie czasem łyka.

FRUCHTBAUM (dotyka palcami materyi, którą meble są pokryte).

Oj! oj!

POSTBRIEF.

Cy! Cy! A zajdne sztik... to pewno szwarcowane jest.

PIOTR.

Tylko nie ruszać nic brudnemi łapami. Czekać cierpliwie. Pójdę was zameldować jaśnie panu (*wychodzi*).

POSTBRIEF (podsusza się do Fruchtbauma, dotyka ręką jego łokcia).

Jaszniego pana... hörste?

FRUCHTBAUM.

Nu, a dlaczego on ma nie być jasny?

Dlaczego? Zkąd idzie jasność? Z kieszeni. A może powiesz, że u niego w kieszeni nie jest jasno?

POSTBRIEF.

Oj! oj! i jak jasno, żebym ja tak jasne życie miał.

FRUCHTBAUM.

Jego tate trzymał karczmę w Lachowie, tak samo, jak ty, ale jego tate miał rozum bardziej delikatny. On wiedział zawsze, który chłop chciał przepić krowę, konia, siano, a jak głupi cham nie chciał, to on mu kazał, coby on chciał.

POSTBRIEF.

Un miał bardzo delikatny rozum.

FRUCHTBAUM.

Jego bachur miał jeszcze delikatniejszy. On na szlachtę był pierwszy znawca, pierwszy mechanik. Ha! ha! On wiedział każdego, co musiał sprzedać las na wpół darmo, zboże na pniu, wełnę na owcy. Za to on teraz jest jasny, bo jego złoto za lasy, za zboże, za wełnę, tak świeci, jak wszystkie jasności.

POSTBRIEF.

Jak uno szwieci!

(*Wchodzi Krongold i nie witając się z żydami, siada na fotelu przed biurkiem. Postbrief wraca do drzwi. Fruchtbaum zostaje na środku pokoju, obydwaj kłaniają się z uszanowaniem*).

## SCENA II.

FRUCHTBAUM, POSTBRIEF, KRONGOLD.

KRONGOLD.

Chciałem właśnie po ciebie posłać, panie Fruchtbaum. Ten drugi, to pewnie Postbrief z Lachowa?

POSTBRIEF.

Srul Postbrief, jasny panie. (*Kłania się kilkakrotnie*).

KRONGOLD.

Czy wszystko załatwione? Proszę, usiądź, panie Fruchtbaum. (*Wskazuje mu oddalone od biurka krzesło*).

FRUCHTBAUM (*siada uważnie na brzeżku krzesła*).

Dlaczego niema być załatwione, kiedy Fruchtbaum kazał, żeby było załatwione?

KRONGOLD.

Bardzo dobrze. A Postbrief, czy dowiedział się, gdzie pan Lachowski jeździł?



## POSTBRIEF.

Co nie mam wiedzieć, jasny Panie. Un sobie jechał, bo jemu się zdawało, że za pieniędzami jechał, a to, za czem un jechał, to był wiater. Ha! ha!... Un mało swoje kunie nie zabił, tak tego wiater gonił.

## FRUCHTBAUM.

Nu—kiedy Fruchtbaum kazał, coby jemu pieniędzy nie dali, to jemu nie dali. Wszystkie żydki na całą okolicę (*zakreśla ręką szerokie koło*) robią tylko to, co Fruchtbaum każe.

## KRONGOLD (do Postbriefa).

Może sąsiedzi złożą się na wadium dla pana Lachowskiego? Czy nie słyszałeś, Postbrief?

## POSTBRIEF.

Co to jest sąszady? Teraz już niema sąszady. Ja jaszniiego pana co powiem. Te sąszady, coby dali jemu na wadium, to są kopcany i nie mogą dacz na wadium, a ta nowa szlachta, co mogłaby dacz na wadium, nie jest głupia, żeby dacz na wadium. Przez to pan Lachowski nie ma wadium.

## FRUCHTBAUM.

Ktoby dał na wadium, kto? Oni teraz albo goli, albo głupi...

## POSTBRIEF.

Fruchtbaum powiedział wielkie słowo, jasny panie. Ryba bawi się z rybem, gęsz z gęszem, ale goj ucieka od goj. Uni nie wiedzą, co dzieszęcz ludzie zawsze mocniejsze od jedyn goły. Niech uni przepadną (*pluje*).

## KRONGOLD.

Więc wszystko do tego czasu w porządku. Pójdiesz teraz, Postbrief, do miasta i dowiesz się, czy nie przybył czasem jaki obcy nabywca.

POSTBRIEF (zbliża się do Krongolda).

A co z karczmą będzie, jasny panie?

## KRONGOLD.

Bądź spokojny, nie skrzywdzę cię.

## POSTBRIEF.

Trzymam godne słowo jasnego pana.

## KRONGOLD.

Spraw się dobrze.

POSTBRIEF (wychodzi tyłem, kłaniając się, z progu wraca).

Jasny pan nie będzie mnie wyrzucić z dziećmi?

KRONGOLD.

Już powiedziałem — ruszaj!

POSTBRIEF.

Aj, aj, jak ja będę słucał. Uszy moje będą, jak cały rynek. Trzymam godne słowo jasnego pana (*wychodzi*).

### SCENA III.

FRUCHTBAUM, KRONGOLD.

KRONGOLD (nachyla się w stronę Fruchtbauma).

A chłopci? Czy nie zechcą się czasem w ostatniej chwili ułożyć o służebności?

FRUCHTBAUM.

Za co mają się ułożyć, kiedy im Fruchtbaum powiedział, co oni będą mieli wszystko.

KRONGOLD.

Sprawiłeś się doskonale, panie Fruchtbaum.

FRUCHTBAUM.

Fruchtbaum mocniejszym, niż ten golec, zakładał strycek na szyje. Ten głupi goj nie chciał ze mną handlować. On mówił, że

Fruchtbaum złodziej, pijawka. Nu, ja wpił się w jego kieszeń, aż wypił z niej ostatni rubel (*z nienawiścią*) Głupi goj!

KRONGOLD.

Więc wykupiłeś wszystkie weksle pana Lachowskiego?

FRUCHTBAUM (wydobywa z kieszeni chałata duży, wytłuszczony pugilares, pełen papierów i podnosi go do góry).

Tu zmieszczą się pięć Lachowol (*wydobywa zwitek papierów*). Co nie miałem wykupić? Aaron Feigelkranz, Srul Finkelberg, Szłoma Ganzleben, zwąchaliby takie papierki nawet w bóżnicy.

KRONGOLD.

Więc trzydzieści tysięcy rubli, a tobie tysiąc za fatygę, razem trzydzieści jeden. (*Chce odebrać weksle od Fruchtbauma; ten kładzie je z wolna do pugilaresu*).

FRUCHTBAUM.

Jakie trzydzieści jeden tysięcy? Było zawsze trzydzieści pięć tysięcy.

KRONGOLD (który wziął pióro do ręki, odkłada je).

Żartujesz, panie Fruchtbaum.



FRUCHTBAUM.

Czy ja to za darmo jeździł, za darmo psuł swoje zdrowie, za darmo? Ja nie mam zwyczaj, żeby co robić za darmo... Pan Krongold też chyba nigdy za darmo nic nie robił.

KRONGOLD.

Daję za fatygę tysiąc rubli. Czy to mało?

FRUCHTBAUM.

A Sruł Finkelberg, Szloma Ganzleben, Aaron Feigelkranz, czy oni się za darmo kłopotali? A pare kilka inne żydki? Czy pan Krongold myśli, że oni nic nie wezmą? Na co kura grzebie? Ona chce co wygrzebać.

KRONGOLD.

Będą aż nadto zapłaceni, gdy dołożę dla nich jeszcze pięćset rubli.

FRUCHTBAUM.

Aj, aj! Pan dobrodziej ma milion, chce być obywatel, magnat, jasny pan, a targuje się lepiej od żydówki w kramiku... Fe, to nie pasuje na takiego magnat, bogacz.

KRONGOLD.

Nie twoja rzecz zaglądać do mojej kieszeni, panie Fruchtbaum.

FRUCHTBAUM.

Ja wcale nie zaglądam. Co mnie do tego, że pan dobrodziej zarobił na las wyganowski 100,000, na las myszkowski dwa razy po sto. Mnie nic do tego; to było szczęście pana dobrodziej. Ale interes lachowski jest znów dla mnie szczęście.

KRONGOLD.

Zależy odemnie kupić Lachowo, albo odstąpić od licytacyi.

FRUCHTBAUM.

Pan wcale nie odstąpi od licytacyi, ja panu każę nie odstąpić.

KRONGOLD (podnosi się i chodzi po gabinecie).

Mogę się zresztą obyć bez twojej pomocy.

FRUCHTBAUM (podnosi się).

Dlaczego nie? Pan dobrodziej może sobie sam licytować, ale i Fruchtbaum też potrafi licytować Lachowo, a jak Fruchtbaum stanie do licytacyi, to pan Krongold zapłaci trzy razy po pięć tysięcy. Ha, ha! Co pan myśli, że ja nie widziałem już licytacye?

KRONGOLD.

Jeśli mnie zanadto wpędzisz, nie kupię Lachowa.

FRUCHTBAUM (skrada się za nim, chodząc).

Dlaczego pan udaje, że pan robi interes z takim, z przeproszeniem, „*grobe jingel*“, jak Srul Postbrief, co wierzy na godne słowo jasnego pana, jak husyt w swojego rabina? Co pan myśli, że ja jestem głupi?

KRONGOLD.

Jeśli nie przestaniesz, panie Fruchtbaum, zadzwonię na służącego. (*Zatrzymuje się na środku pokoju, za nim Fruchtbaum*).

FRUCHTBAUM.

Nu, niech pan sobie zadzwoni. Pan może wyrzucić Fruchtbauma za drzwi, ale za godzinę pośle pan po niego i powie: dzień dobry, panie Fruchtbaum. Aj, aj! jeszcze pan nie kupił Lachowa, a już się pan potrzebuje gniewać, jak prawdziwy szlachcic.

KRONGOLD.

Żeby skończyć, dołożę jeszcze tysiąc.

FRUCHTBAUM.

Pan dobrodziej mówi, że pan nie kupi Lachowo. Ja panu każę kupić Lachowo. (*Krótką pauza*). Panie Krongold! Kiedy pan był jeszcze mały bachurek, to pan wszedł do ogrodu w Lachowie i patrzył na zamek i dziwował się, że on taki wielki. Małego

bachurka z karczmy, schwycił wtedy ogrodnik—paskudny goj -- i wyrzucił go precz. Kości ci połamię—mówił ten cham, jak cię jeszcze raz tu złapię. Panie Krongold! Ten ogrodnik jest jeszcze w Lachowie i powie jutro do tego, co był mały bachurek: jasny panie.

KRONGOLD.

Przyznaj, panie Fruchtbaum, że za wiele żadasz. Dołożę jeszcze tysiąc.

FRUCHTBAUM. †

Taki pan, jak pan Krongold, potrzebuje stare, piękne rezydencye; a na całą okolicę, na dziesięć okolice, niema takiego zamku i park. Jaki to zamek! W murach siedzą sobie kule od te szwedy, a w środku, w wielkiej sali, wiszą takie różne pałasze, że pan Goldfisz, ten bogacz, co kupił rezydencye po pan Siekierowski, takiego żelaza nigdy nie widział. On dostanie chorobę w żołądek z zazdrości.

KRONGOLD.

Umiesz robić swoje interesa, panie Fruchtbaum.

FRUCHTBAUM.

Za co nie mam umieć? Czy to Fruchtbaum od dziś handluje?



KRONGOLD.

Dam jeszcze tysiąc. Niech cię piorun trzaśnie, takiś twardy. (*Idzie do biurka, pisze przekaz do kasy*).

FRUCHTBAUM.

Pan dobrodziej już cały szlachcic. Jak pan dobrodziej umie wymyślać. (*Patrzy z pogardą na Krongolda*).

KRONGOLD.

Czy dobrze zakląłem?

FRUCHTBAUM.

Aj, aj! jak dobrze, jak wielki pan!

KRONGOLD (podaje Fruchtbaumowi przekaz).

Kasa wypłaci 34,000 rubli.

FRUCHTBAUM (bierze przekaz, ogląda go uważnie, chucha na niego, potem oddaje Krongoldowi zwitek papierów, a sam chowa przekaz do pugilaresu).

Delikatny interes! Proszę pana, panie Krongold, czy pan słyszał, co ten waryat Proszowski wyrabia?

KRONGOLD (przeglądając weksle).

Dlaczego nie miałem słyszeć? Przybył przed miesiącem z Paryża do naszego miasteczka, objął dziedzictwo po ojcu i bawi się w obywatela.

## FRUCHTBAUM.

Ja nie wiem, jaka to zabawa, ja wiem tylko, że on się paskudnie bawi. Czy pan wie, że ten rozbójnik, ten gałgan, zabiera żydkom cały zarobek? On założył taki wielki dom komisowy, co pożera wszystko zboże z całej okolicy. On robi kontrakty z wszystkie obywatele bez faktorów, daje zaliczki na lasy i rozpożycza pieniądze na procent bankowy. Gwałt! Na procent bankowy! To pan nazywa zabawienie! Co on sobie myśli, ten gałgan! Z czego będą żydki żyli, kiedy on wszystko chce połknąć?

## KRONGOLD.

Cóż cię to może obchodzić, że pan Proszowski chce stracić kilkadziesiąt tysięcy rubli. Bo że je straci, o tem wiesz dobrze. Jak mu szlachta nie odda tego, co rozpożyczył, wtedy namyśli się lepiej.

## FRUCHTBAUM.

Niech on się rychło namyśli, bo jak on się będzie długo namyślał, to Fruchtbaum za niego pomyśli. Aj, aj! jak pomyśli!

## KRONGOLD (dzwoni).

To sobie myśl, a teraz idź dowiedzieć się o godzinie licytacji jutrzejszej i przyjdź

mi powiedzieć. Do widzenia, panie Fruchtbaum.

SCENA IV.

KRONGOLD, PIOTR.

KRONGOLD.

Czy ty widział kiedy pana Lachowskiego?

PIOTR.

Widziałem, proszę pana.

KRONGOLD (mierzy go z góry).

Piotr, czy ty widział kiedy pana Lachowskiego, ty — Piotr!

PIOTR.

Widziałem, jaśnie panie.

KRONGOLD.

No! (*pauza*). Kiedy ty widział pana Lachowskiego, to jak on tu przyjdzie, ty, Piotr, jemu powiesz, że mnie niema w domu. Czy rozumiesz?

PIOTR.

Rozumiem. (*Poprawia się*) Rozumiem, jaśnie panie.



KRONGOLD.

A teraz poprosisz panny Amelii.

*(Wbiega Amelia — lokaj wychodzi).*

## SCENA V.

KRONGOLD, AMELIA.

AMELIA.

Jestem bez proszenia.

KRONGOLD *(wstaje — kłania się)*.Witam jaśnie wielmożną dziedziczkę na Lachowie! *(siada)*.

AMELIA.

Więc interes skończony! Jutro kupi papa Lachowo, a pojutrze wprowadzimy się do starego zamku! Jak ja lubię takie starożytne grody rycerskie, takie pańskie rezydencje! Jaki tam park, jakie spacery konne! Nasi znajomi z Warszawy poślą z zazdrości, gdy przybędą do nas na przyszłe lato!

KRONGOLD.

Goldfisz dostanie reumatyzm w żołądek. Czy Amelka kontenta z swojego papy?

AMELIA.

Czy była kiedy niekontenta?

KRONGOLD.

A jak się to dobremu papie dziękuje?

AMELIA.

Ot, tak! *(całuje go kilkakrotnie, potem podnosi głowę, kręci nosem)*. Fi donc, jaki tu obrzydliwy zapach. Nie rozumiem, dlaczego *(akcentuje szydersko)* ci nasi kochani współwyznawcy lubią czosnek, cebulę i brud z kilku lat. Był ich tu chyba cały szwadron. Uduszę się. Jak można tak nieprzyjemnie pachnąć *(bierze z biurka rozpylacz i strzyka)*. Papo, zapal dobre cygaro, bo zemdleję.

KRONGOLD.

Ale, Amelka!

AMELIA.

Papa powie może, że jestem sama żydówką, a ty żydem. *(Staje przed zwierciadłem)* Czy tak wyglądają Małki, Sury, Ryfki?

KRONGOLD.

Nie na to twój papa wydał duże pieniądze na metry, guwernantki i wojaże—jakie



pieniądzek! — aby ty była jak Małka, albo Ryfka.

AMELIA.

Więc o cóż idzie? Oni, to brudne łapserdaki, to żydy, a my...

KRONGOLD.

A my co?

AMELIA (podchodzi do ojca, kładzie mu obiedwie ręce na ramionach).

Czy papa odmawia rano i wieczór modlitwy, zwrócony twarzą na wschód? Czy wykonywa przepisy starego zakonu, wierzy w mądrość rabina i zachowuje szabasy?

KRONGOLD.

To głupie przesady—dobre dla golców.

AMELIA.

Czy papa pragnie powrotu do Jerozolimy?

KRONGOLD.

A cobym tam robił? Tam tak gorąco jest.

AMELIA.

Czy posyła mięso do rzezaka?

KRONGOLD.

Na co takie gadanie.

AMELIA.

Czy ucieka od wieprzowiny? Szyneczka wcale dobrze smakuje, gdy niema czego lepszego pod ręką.

KRONGOLD.

Aj, aj, ty figlarka.

AMELIA.

I papa mówi, że papa żyd?

KRONGOLD.

No, ja nie mówię, ale...

AMELIA.

Proszę, proszę stanąć przed zwierciadłem. (*Krongold staje przed zwierciadłem*) Niechno papa spojrzy... A co? Czy to tak wygląda ją Fruchtbaum, Fajtlapa Kogucik i jak się tam te żydki nazywają?

KRONGOLD (bardzo zadowolony).

A jak ja wyglądam?

AMELIA.

Jak wielki finansista europejski, lub amerykański, jak obywatel świata!

KRONGOLD (bardzo zadowolony).

Aj, aj, ty... ty... (*szczypie córkę w poli-*

*czek*). Ty twojego papę przekonasz, że on Rotszyld.

AMELIA.

A cóż Rotszyldzi lepszego od nas. Że mieli kilkadziesiąt lat wcześniej od nas pieniądze? My je także mamy.

KRONGOLD (z wielką pychą).

My je także mamy.

AMELIA.

Papa jest obywatelem świata, jak każdy milioner, który może mieszkać, gdzie mu się tylko podoba. Warszawa, Wiedeń, Paryż, Nicea, Rzym, Neapol—pieniądze zawożą wszędzie, dają wygodny dom, służbę, powozy. Bogaty, nie ma potrzeby krępować się miejscowością i przywiązaniami do niej przesądami.

KRONGOLD (z podziwem).

Jak ty dowodzisz! Ja to sobie wszystko myślałem, ale nie umiałbym tak samo powiedzieć. Ma się rozumieć, że obywatel świata... to ładnie... to bardzo ładnie... to jeszcze lepiej, jak obywatel niemiecki, francuski... to więcej.

AMELIA.

Trzeba zerwać koniecznie z tymi żydami.

KRONGOLD.

Trzeba zerwać. Oni robią takie męczące interesy. Niech ja ich nie znam, jak oni zdzierają.

AMELIA (przymiła się ojcu).

A potem trzebaby wydać córeczkę za-  
mąż... bo latka idą...

KRONGOLD.

Twój papa już o tem myślał, ale to cięż-  
kie myślenie. Gdybyś chciała, mógłbym ci  
kupić jakiego szlachcica z przodkami w ta-  
kich żelaznych kaftanach i takich czapkach  
z blachy. Jacy oni byli głupi, że nosili ta-  
kie nieprzyjemne czapki...

AMELIA.

Trzebaby się najsamprzód przechrzcić,  
papo.

KRONGOLD.

Moja Amelka prawi zawsze, jak profesor.  
Ale gdzież poszukać między naszymi zię-  
cia, któryby się poznał na edukacyi mojej  
Amelki?

AMELIA (pieszcząc ojca).

A gdybym już znalazła?

KRONGOLD.

Chyba nie tu, na prowincyi.

AMELIA.

Właśnie, że tu, w tym zapadłym kącie

KRONGOLD.

Moja Amelka żartuje.

AMELIA.

A pan Proszowski?

KRONGOLD.

Prawda, zapomniałem. Proszowski nie zrobiłby milionowi wstydu, on wygląda i mówi, jak prawdziwy szlachcic.

AMELIA.

A jaki wykształcony! Wychował się w Paryżu, widział Europę, Amerykę i Afrykę, służył w Algierze, w legii cudzoziemców, bił się — słyszysz papo — strzelał do ludzi prawdziwemi kulami.

KRONGOLD (z przestraczem).

Może kogo zabił?

AMELIA.

Niezawodnie, nie jednego Araba. Spotkałam się z nim u państwa Raszewskich, i czy



wiesz, papo, że chociaż tam byli sami panowie z okolicy, jego słuchano najwięcej. A jak go szanują!

KRONGOLD.

Wiem, wiem. Proszowscy trzymali zawsze z chrześcianami, choć oni niby to żydzi. Jacy oni tam żydzi?

AMELIA.

Tacy, jak ty i ja, papo. Oni są dawniej od nas obywatelami świata.

KRONGOLD.

Ale on trochę waryat, jak jego ojciec. Mnie mówili w mieście, że on chodzi na cmentarz i rozmawia z duchem ojca, jak z żywym człowiekiem. Co to jest? On robi głupie interesy. On zbankrutuje, jak on będzie się bawił w uczciwego kupca.

AMELIA.

Ja się nie znam na tych waszych interesach, ale to wiem, że mojego papę stać na zięcia, który umie być panem.

KRONGOLD (z pychą).

Ma się rozumieć.

AMELIA.

Więc papeczka nie ma nic przeciwko mojemu wyborowi?

KRONGOLD.

No, no, zobaczymy. A Proszowski? Cóż on na to?

AMELIA.

Mówił ze mną dużo u państwa Raszewskich, a w sposób taki, że nie wątpię, iż zrobiłam na nim wrażenie. Można mu zresztą pomóc. Papa wie, że nie należę do owych sentymentalnych dziewczyc, które czekają, aż kto na nie spojrzeć raczy. Potrafię sobie sama radzić, gdy potrzeba.

KRONGOLD.

On nie był u nas dotąd nawet z pierwszą wizytą.

AMELIA.

Przyjdzie, nie wątpię... a zresztą, czy to daleko do jego willi za miastem. Mówił mi, że chce sprzedać jednego ze swoich wierzchowców. Pojedziemy do niego obejrzyć tego konia.

KRONGOLD.

A czy to tak można, tak sobie... zaraz...

AMELIA.

Dlaczego nie. Towar, wystawiony na sprzedaż, wolno każdemu oglądać. W Pa-

ryżu odwiedzają panie pracownice malarzów  
i nikt się tem nie gorszy.

*(Przez uchylone drzwi zagłada Sara).*

SCENA VI.

KRONGOLD, AMELIA, SARA.

SARA.

Czy nie przeszkadzam?

KRONGOLD.

Prosimy do rady familijnej! *(Sara wchodzi).*

AMELIA.

Bardzo mało obchodzą Sarę nasze interesy.

*(Krongold podsuwa Sarze fotel).*

SARA *(siada).*

Jesteś od pierwszej chwili mojego pobytu w kraju tak dobry, kochany wujaszku, że ośmielam się nadużyć twojej uprzejmości.

KRONGOLD.

Słucham.

SARA.

Ale nie pogniewasz się na mnie, wuju?

KRONGOLD.

Czy się twój wujaszek już na ciebie gniewał?

SARA.

Wczoraj kochany wujaszek był łaskaw obiecać, że mi kupi medalion z brylantami...

KRONGOLD.

Przyrzekłem i kupię. (*Odwraca się do Amelii*) Czy wystarczy dwieście rubli?

AMELIA.

Zależy od osoby i od przedmiotu.

SARA.

Daj mi połowę tych pieniędzy, wuju.

KRONGOLD.

Córka mojej siostry nie powie, że jej wujaszek skąpy (*wydobywa banknoty*).

AMELIA.

Ależ papo, tu w naszej mieścinie nie można kupić nic podobnego. Niech Sara zaczeka, aż pojedziemy do Warszawy. Chyba (*do Sary*) upatrzyłaś sobie jaką okazyję. (*Sara opuszcza głowę*). U kogo? ciekawa jestem?

SARA.

Nie na ozdobę chcę obrócić te pieniądze.

AMELIA.

Niezawodnie na jaką dobroczynność. Bo trzeba ci wiedzieć, papo, że Sara (*z prze-kąsem*) ma bardzo czułe serce. Zaledwo mi-  
nał tydzień od czasu, jak przybyła do nas  
z Paryża, a już zdołała porobić znajomości  
z rozmaitymi łapserdakami. Szczególny gust  
u panny, wychowanej nad Sekwaną.

SARA.

I w błyskotliwej stolicy świata nie stroi  
się ubóstwo w adamaszki i koronki.

KRONGOLD.

Czy to prawda, Sara, że ty sobie za te  
pieniądze nie kupisz medalionu?

SARA.

Wracając wczoraj z parku miejskiego,  
wstąpiłam do Ryfki Kornfeld, która miesz-  
ka tuż za naszym ogrodem. Mąż jej leży  
od sześciu miesięcy chory, dzieci żywią się  
samymi tylko kartoflami, a ona łzami roz-  
paczy! Boże, jaka tam nędza! To być nie  
może, nie powinno, aby tyle niedoli sąsia-  
dowało tak blisko z weselem, ze zbytkiem.  
Nie zasnąłabym spokojnie, wiedząc, że tam,



na dole, za tą bramą, konają ludzie z braku garści pieniędzy.

AMELIA.

Kuzyneczka świetnie deklamuje. Czy nie mówiłam? Sara bawi się w filantropkę.

SARA.

Nie bawi się, siostró, kto krwawemi zapłakałby łzami, gdyby się te łzy mogły zamienić na złoto, ulgę niosące ubogim. Niestety, okrom łez, nic więcej dać nie mogę.

AMELIA.

Musiałaś czytać dużo poezyj w Paryżu?

SARA.

Mówiła mi Ryfka Kornfeld, że gdyby posiadała sto rubli, pokonałaby nędzę. Wszakże dwieście ma kosztować ów medalion, którego zupełnie nie pożądam. Pozwól mi, wujaszku, użyć tych pieniędzy podług woli, proszę, pozwól...

AMELIA.

Kuzyneczka bardzo hojna...

KRONGOLD.

Czy ty mnie chcesz posłuchać, Saro?

SARA.

Jestem córką twojej siostry, wuju.

KRONGOLD.

To posłuchaj mnie uważnie. Takich nędzarzów, jak Ryfka Kornfeld, jest teraz dużo. Gdyby każdemu dać, co mu potrzeba, zrobiliby bankrut sto Rotszyldy i dlatego nie można wszystkim dać. Pomóż trochę, dlaczego nie? Bogaty powinien dać biednemu, bo to jego honor, że może dać. Mój kasyer wypłacił Ryfce kilka razy po rublu i jeszcze wypłaci, gdy będzie bardzo głodna. Ale dlaczego zaraz tak dużo? Za sto rubli, to w Warszawie gazety napiszą, że jaśnie wielmożny pan Krongold dał na dobroczynność sto rubli i wiedzieć o tem będą wszyscy. A tu, kto co napisze, kto będzie wiedział? Twój wujaszek da sto rubli, jak będzie warto, bo twój wujaszek nie na to dorobił się milion, aby rozrzucił pieniądze bez rozumu.

SARA.

Inaczej uczył mnie ojciec.

KRONGOLD.

I cóż tobie z tej jego innej nauki, kiedy on sobie poszedł na drugi świat i tobie nic nie zostawił.

SARA.

Wzięłam po nim czyste nazwisko i pamięć uczciwego człowieka.

KRONGOLD.

Co to za posag? Każde nazwisko świeci, jak je się dobrze pozłoci. A uczciwość? Jest dużo uczciwych, co nie mają co w gębę włożyć.

AMELIA.

O taki posag nie ubiega się nawet handlarz starzyzny!

KRONGOLD.

Nie gniewaj się, Sara, że tak sobie mówię, ale ja chciałem z tobą raz rozumnie pogadać. Ludzie opowiadali, że twój ojciec był bardzo mądry. On chodził do uczonych szkół i znał się na książkach, jak... księgarz. Dlaczego on tobie nie zostawił żaden posag, kiedy on był taki mądry?

SARA.

Praca, która żywiła ojca, daje zaledwo skromne utrzymanie. Wiesz przecie, wuju, że był profesorem języków.

KRONGOLD.

To dlaczego on pracował w takim interesie, na którym nie można nic zarobić?

Ja ci powiem, dlaczego? Jego ojciec, dziad i pradziad, jego wszystkie przodki, byli same rabiny. Oni kiwali się i kiwali nad książkami tak długo, aż zapomnieli o cały świat. Oni nie wiedzieli nawet, że są pieniądze, że z grosza można zrobić dwa, z dwa cztery, a z dziesięć, to już sto. Mnie nauczyli rodzice tylko czytać, pisać, rachować i powiedzieli mi: pilnuj pieniądze, bo pieniądze, to wszystko na świecie. Ja posłuchał rodziców, ja szukał pieniądze i znalazł je. A kiedy ja je znalazł, to ja sobie powiedział, że człowiek bogaty musi być edukowany, aby nie robił wstydu milionowi, a kiedy ja to sobie powiedział, to ja się nauczył dobrze po polsku, potem pojechał sobie na wojaz i wiem teraz to samo, co twój ojciec, chociaż do uczonych szkół nie chodziłem, bo widziałem wszystkie miasta w Europie i co w nich jest. Trochę spryt i szczęście, a można być milioner bez książki.

SARA.

Sprytu nie posiadał mój ojciec, a szczęście sprzyja rzadko uczciwym pracownikom.

KRONGOLD.

Ja wiem, że twój ojciec był taki mądry, jak jego książki, co nawet chodzić same

nie umieją i nic nie mówią. A czy ty wiesz, dlaczego ja tobie to wszystko powiedział? Dlatego, abyś nie była taka głupia, jak twój ojciec.

SARA (podnosi się).

Wuju!

KRONGOLD.

Nie obraż się, kiedy wuj trochę prawdy mówi. Ja uważam, że ty masz naturę ojca i dlatego tak mówię.

SARA.

Byłabym najszczęśliwsza, gdybym mogła być choć w małej części podobna do tego, który się już bronić nie może.

KRONGOLD.

Aj, aj, jaka ty obraźliwa. Jak twój ojciec! Ja go znałem. Głupstwo zrobisz, jeżeli Ryfke Kornfeld dasz dziesięć rubli, ale nie chcę, abyś mówiła, że ci wujaszek Krongold co odmówił. Masz! (*podaje jej pieniądze*).

SARA.

Dziękuję ci, wuju. Dla Ryfki Kornfeld postaram się o innego dobrodzieja. A ciebie (*do Amelii*) nie będę nudziła dłużej de-



klamacyami. Sądzę, że profesorce z patentem Sorbony nie będzie trudno znaleźć w tym kraju zatrudnienie, dopóki to zaś nie nastąpi, proszę jeszcze wuja o cierpliwość, której nie nadużyję (*wychodzi*).

KRONGOLD (przez chwilę oniemiały, potem)  
Sara, Sara!

## SCENA VII.

KRONGOLD, AMELIA.

AMELIA.

A to nam dała przedstawienie! (*Śmieje się*)  
Cóż to za śmieszna gąska!

KRONGOLD.

Waryatka! (*Po chwili*) Ale ona gotowa zrobić, co groziła. Coby na to świat powiedział, żeby moja siostrzenica uciekła z domu. Nie mogę na to pozwolić (*chce biedz za Sarą*).

AMELIA (powstrzymuje ojca).

Ależ papo, myślałam, że znasz lepiej ludzi.

KRONGOLD.

Dlaczego niemam znać ludzie?

AMELIA.

Któż zamienia dostatek na ubóstwo.

KRONGOLD.

Jej ojciec był taki głupi. On nie chciał wzięść odemnie pieniądze, chociaż nie miał nieraz co zjeść.

AMELIA.

Kobieta nie jest mężczyzną, papo. Żadna z nich nie porzuci salonów i powozów, dopóki może z nich korzystać.

KRONGOLD.

Może masz rację. Ty wiesz o tem lepiej od twojego papy. Ty mówisz, Amelka, że Sara zostanie?

AMELIA.

Ależ zostanie, zostanie, nie obawiaj się. A teraz do widzenia, bo muszę ubrać się do powozu. Wszakże pojedziemy na spacer?

KRONGOLD.

A na co ja sprowadził nowy ekwipaż?  
(*Całuje ją — wchodzi lokaj i podaje na tacy kartę wizytową*).

AMELIA.

Któż to taki? (*Patrzy przez ramię ojca na kartę*).

KRONGOLD (tajemniczo).

Proszowski!

AMELIA.

On! Widzisz, papo, nie mówiłam? (*Do służącego*) Prosić! prosić! (*Służący wychodzi — Amelia poprawia włosy przed lustrem w pośpiechu*). Zostanę jeszcze kilka chwil. Będę o krok bliżej celu (*wchodzi Proszowski*).

### SCENA VIII.

KRONGOLD (biegnie uradowany naprzeciw Proszowskiego).

Witam, witam! Wielki honor dla mojego domu.

PROSZOWSKI.

Przepraszam pana bardzo, że nie złożyłem mu dotąd uszanowania, ale jestem ciągle tak zajęty...

KRONGOLD.

Wiem, wiem, dużo interesów — wielki dom komisowy — zakupy zboża! Pan dobrodziej wystąpił w naszej mieścinie od razu po europejsku. Cały świat się dziwuje. A nasze żydki jak wrzeszczą! Aj, aj!

PROSZOWSKI.

Rzeczywiście, ruszam się dosyć żywo i dlatego nie miałem czasu do wizyt. I dziś nie z odwiedzinami jeszcze przybyłem, lecz w sprawie, w której potrzebuję od pana pomocy.

AMELIA (która stała dotąd na uboczu, przypatrując się Proszowskiemu, wysuwa się naprzód).

W takim razie nie będę panom przeszkadzała.

KRONGOLD (z pychą).

Moja córka, Amelia.

PROSZOWSKI.

Miałem zaszczyt być przedstawionym panie Krongold u państwa Raszewskich (*Wita się z Amelią*).

AMELIA.

Ale ja panów wstrzymuję, a panowie mają zapewne bardzo ważne sprawy do załatwienia. Panowie finansiści zawsze tacy poważni... Oh!...

PROSZOWSKI.

Liczymy, pani, liczymy ciągle...

AMELIA.

W każdym razie, do rychłego widzenia,

bo urządzamy jutro z papą najazd na pańskie zacisze... Chcemy obejrzyć wierzchowca, którego pan ma na sprzedaż. (*Proszowski się kłania*). Więc do widzenia. (*Odwraca się do ojca*) Włożę kapelusz i przyjdę po papę (*wychodzi*).

(*Krongold przeprowadza ją do drzwi wzrokiem uwielbienia, potem ogląda się na Proszowskiego, jakby chciał powiedzieć: A co?*)

## SCENA X.

KRONGOLD, PROSZOWSKI, potem PIOTR.

PROSZOWSKI.

Interes mój nie zajmie panu długo czasu. Potrzebuję bowiem tylko drobnego objaśnienia.

KRONGOLD.

Jestem do usług pana dobrodzieja. Pan raczy spocząć (*Siadają*). Jakiem cygarkiem panu służyć? (*Wydobywa kilka gatunków*). Są hawańskie, holenderskie, amerykańskie. Prawdziwe, tylko importowane.

PROSZOWSKI.

Dziękuję uprzejmie, tak krótko u pana zabawię, że nie warto zapalać drogiego cy-



gara. Proszę pana, panie Krongold, czy nie może mi pan wskazać tego lichwiarza, który wykupił weksle pana Lachowskiego?

KRONGOLD (patrzy na niego przez chwilę z nieufnością, potem)

Dlaczego pan mnie o to pyta? Ja nie znam żadne lichwiarze.

PROSZOWSKI.

W takim razie objaśniono mnie źle, gdy mi mówiono, że ten lichwiarz pozostaje z panem w stosunkach handlowych.

KRONGOLD.

Kto mógł powiedzieć taką brzydką rzecz? Ja nie robię interesów z temi pijawki. To łajdaki, gałgany, oni z ludzi skórę zdierają (*Przypatruje się Proszowskiemu z chytrnością*). Lachowski może panu co winien?

PROSZOWSKI.

Mówiono mi, że pan Lachowski znajduje się w położeniu bez wyjścia, a ponieważ był przyjacielem mego ojca, przeto chciałbym mu dopomódz.

KRONGOLD (cofa się w fotelu, jakby go kto uderzył, potem)

Czy pozwoli pan, abym panu co powiedział?

PROSZOWSKI.

Starszych od siebie słucham zawsze chętnie.

KRONGOLD.

Dlaczego się panu mieszczą w cudze interesy?

PROSZOWSKI.

Przyjaciół ojca nie jest dla syna nigdy obcym człowiekiem.

KRONGOLD.

Jak pan sobie chce. Ale czy pan wie, że żydki wołają na pana gwałt?

PROSZOWSKI.

Że założyłem dom komisowy, że zakupiłem prawie wszystko zboże z okolicy, że płacę ceny targowe, że daję zaliczki na zwykły procent bankowy, że poprostu chcę innowiercom dowieść, iż żyd może być człowiekiem uczciwym? Że za to na mnie pomstują, wiem, ale mnie gniew ich nie przeraża (*Podnosi się*).

KRONGOLD.

Pan nie wie, jacy ani mocni.

PROSZOWSKI.

O, panie, w puszczech afrykańskich odu-

czono mnie błędąć nawet przed rzeczywistym niebezpieczeństwem.

KRONGOLD (wstaje).

Oni nie przebierają w środkach, oni takie grubijany...

PROSZOWSKI (z mocą).

A ja nie odstępuję nigdy od tego, co raz postanowiłem. Jestem żydem z pochodzenia i z przekonań, i dlatego nie chcę, aby to miano było równoznacznikiem wyrzutka rodu ludzkiego.

*(Krongold rozkłada ręce; ruch rezygnacyi—w przedpokoju słycać wołanie—potem wpada służący).*

PIOTR.

Pan Lachowski tu biegnie — nie mogłem go powstrzymać.

KRONGOLD.

Galgan! Ja ciebie wypędzę, mnie niema w domu, nie wpuszczaj!

*(Lokaj wybiega, na progu spotyka się z Lachowskim, który go usuwa na stronę i wpada).*

## SCENA X.

KRONGOLD, LACHOWSKI, PROSZOWSKI.

LACHOWSKI (wpada szybkim krokiem, mówi głosem odrazu podniesionym, wzburzony).

Zamykasz się przedemną, panie Krongold; ponieważ jednak nie miałem dotąd zwyczaju wyczekiwania w przedpokojach takich, jak ty, mocarzów, przeto otworzyłem sobie sam drzwi twojej kryjówki.

KRONGOLD (przerażony).

Przepraszam pana dobrodzieja... ja nie kazałem... ja tego galgana wypędzę... tego fagas...

LACHOWSKI.

Wiedziałaś bardzo dobrze, panie Krongold, że nie pozwolę się bez oporu wyrzucić z kołyski mojego rodu, że przyjdę zapytać się, dlaczego wpędziłaś mnie do matni, jak dzikie zwierzę, na śmierć skazane?

KRONGOLD.

Panie dobrodzieju... nie rozumiem... takie oskarżenie... (*Podsuiwa mu krzesło*) Pan dobrodziej pozwoli spocząć—proszę...

LACHOWSKI.

Nie wiele mam ci do powiedzenia, panie

Krongold, przeto dziękuję za uprzejmość niepotrzebną. Posłałeś na ślady moje najzacieklejszych psów lichwiarskich, odebrałeś mi kredyt nietylko w okolicy, ale i w Warszawie. O! bo wy teraz wszechpotężni! Uniemożliwiwszy mi obronę, wykupiłeś wszystkie weksle, abym pogoni twej już nie uszedł. Krongold, dlaczego ty chcesz pana i dobrodzieja przodków swoich pozbawić dachu, pod którym rodził się i wychował długi szereg pokoleń? I twoi dziadowie korzystali z niedołężnej dobroci moich. Ty wiesz o tem, panie Krongold.

KRONGOLD.

Cóż ja na to mogę poradzić?... Licytacja...

LACHOWSKI.

Nie wierzysz w to, co mówisz, panie Krongold. Gdyby nie twoje zabiegi, uzyskałbym kredyt i ocalałbym resztki mienia Lachowskich. Ty wiesz przecie, panie Krongold, że nie lekkomyślność spowodowała mój upadek. Czy wy musicie zawsze stawiać pałace swoje na grobach innowierców? Czy wam potrzeba koniecznie leż niedoli i klątw ostatecznej rozpaczy do szczęścia? Boże! jakie to okrutne plemię!



KRONGOLD (zaczyna się gniewać).

Ale proszę pana — jestem u siebie, co mnie do pańskich interesów...

LACHOWSKI (powtarza półgłosem).

Jakie to okrutne plemię! (*Zbliża się do Krongolda*) Nie o mnie zresztą idzie. Gdy mnie wypędzisz z domu ojców, mogę iść w świat, na chleb nędzny, jak wielu innych, do mnie podobnych uczyniło. Ale pragnąłem zachować tę pamiątkę rodzinną dla dzieci. (*Z prośbą*) Panie Krongold! Babka tych dzieci pamiętała nieraz życzliwie o ubogich mieszkańcach karczmy lachowskiej. Przez pamięć na tę świętą niewiastę proszę cię, nie stawaj do licytacyi. Patrz! aczkolwiek dotąd tylko przed Bogiem się korzyłem, chylę się przed tobą, przed synem mojego arendarza (*chce się schylić*).

(*Proszowski, który od chwili wejścia Lachowskiego usunął się na stronę, podchodzi szybko i chwyta go za ramię*).

PROSZOWSKI.

O, panie Lachowski! (*Lachowski spogląda na niego zdziwiony*). Czy mnie pan nie poznaje? Dzieckiem prawie byłem, kiedy wyjeżdżałem z kraju, ale mówi mi portret, że jestem podobny do ojca, a panowie...

LACHOWSKI.

Proszowski! Abraham Proszowski! Henryk... Prawda, jaki podobny do ojca! (*Chwyta go za obiedwie ręce*) Panie Henryku, twój ojciec był prawym człowiekiem, szlachetnym człowiekiem. Dziad twój i pradziad wiedzieli, co to sumienie.

PROSZOWSKI.

Chyba panu nie doniesiono o moim powrocie, skoro nie kazałeś mnie do siebie przywołać?

LACHOWSKI.

Słyszałem, ale widzisz, panie Henryku, dziś ludzie tacy inni...

PROSZOWSKI.

Służę panu jutro od samego rana. Nie wierzyłbym, panie Lachowski, że szanowałeś ojca mojego, gdybyś się ze mną nie zechciał porozumieć.

LACHOWSKI.

Zobaczymy się u ciebie, panie Henryku.

PROSZOWSKI (do Krongolda).

Panie Krongold, rozumiem, że kupcy nie mają potrzeby wyjawiać swoich planów, ale wobec tego, co słyszałem, nie będziesz pan

chciał przeczyć, iż zgłosiłem się pod adresem właściwym.

(*Wsuwa się Fruchtbaum*).

## SCENA XI.

KRONGOLD, PROSZOWSKI, LACHOWSKI,  
FRUCHTBAUM

KRONGOLD (ujrzawszy Fruchtbauma, z gniewem).

Kto pana Fruchtbauma prosił, żeby przychodził?

FRUCHTBAUM.

Pan dobrodziej kazał zapytać o te licytacje. To ja dowiedział się, kiedy ta licytacja.

LACHOWSKI.

To on, ten sęp, co krąży od roku nad Lachowem!

FRUCHTBAUM.

Jasny panie! Aj! aj!

LACHOWSKI (do Fruchtbauma).

I ty śmiesz stawać przedemną! (*Biegnie za Fruchtbaumem, który ucieka*).

KRONGOLD.

Taki skandal, taki skandal! Ja tego gałgan, tego fagas zaraz wypędzę (*Wybiega za nimi*).

## SCENA XII.

PROSZOWSKI, potem SARA.

PROSZOWSKI (bierze kapelusz i zmierza ku wyjściu—na środku sceny staje—patrzy na drzwi, któremi uszedł Fruchtbaum, potem mówi)

Potomkowie Machabeuszów! ha! ha! ha! (*Chce wychodzić, na progu zastępuje mu Sara drogę*). Sara! Panna Sara! (*Podają sobie obiedwie ręce i patrzą na siebie przez chwilę w taki sposób, że widać, iż się kochają*). Pani tu... w tym kraju... a ja o tem nie wiedziałem?

SARA.

Wyjazd mój z Paryża wypadł tak nagle, że nie miałam czasu uwiadomić pana. Chciałam to uczynić dziś... chciałam pana prosić o pomoc dla ubogich.

PROSZOWSKI.

Tylko dlatego?... Zawsze niezmiennie dumna i ostrożna. O, panno Saro!

SARA.

Duma jest puklerzem ubogich, panie Henryku.

PROSZOWSKI.

W tym domu potrzebuje pani niezawodnie takiego puklerza, ale wobec mnie?... Kto panią skazał na pobyt pod dachem Krongolda?

SARA.

Jestem w domu wuja.

PROSZOWSKI.

Pan Krongold pani wujem—prawda—zapomniałem. Takie to na pozór naturalne, a w istocie...

SARA.

A w istocie więcej, niż dziwne. Wiem o tem. Gdzie spojrzę, dokąd się zwrócę, wszędzie i zawsze słyszę tylko liczby i widzę twarze, strawione chciwością zysku, podłe głowy, tarzające się w prochu przed złotym cielcem. Obrzydliwością napelnił już duszę moją ten bezustanny szwargot handlarzów, szukających, na czym pocie, na czyjej krwi, mogliby się utuczyć! I ty zostałeś przekupniem, ty, panie Henryku?...



PROSZOWSKI.

Nie łokieć i miarka szły za mną przez kraje i morza, nie liczby i zarobki nakłoniły mnie do podjęcia pracy, która nie przypina nigdy i nigdzie skrzydeł do ramion, ducha nie podnosi; lecz na gruncie właściwym stanąć powinien, kto chce na Izrael oddziaływać. Kupiectwo jest żywicielem, kierownikiem, początkiem i końcem myśli naszego ludu, przeto przemówi tylko kupiec do niego językiem zrozumiiałym.

SARA.

Niech cię więc prowadzi geniusz marzycielów, panie Henryku, i niech cię zwróci z manowców w samą porę.

*(Wbiega Amelia w kapeluszu).*

## SCENA XIII.

SARA, PROSZOWSKI, AMELIA.

AMELIA.

Jestem gotowa, papo. *(Staje — dziwi się)*  
Państwo się znają?

PROSZOWSKI (swobodnie—szydersko).

Jak brat i siostra, pani. Marzyliśmy razem w Paryżu o odbudowaniu świątyni Je-

rozolimskiej. Ciekawy temat... wszak prawda?

AMELIA.

Rzeczywiście... dziwny...

PROSZOWSKI.

Tymczasem zaś muszę wracać do zajęć praktyczniejszych. Spodziewam się, że będę miał rychło zaszczyt uścisnąć śliczne pani rączęta.

AMELIA.

Ależ jutro, do widzenia.

*(Proszowski żegna się i odchodzi).*

#### SCENA XIV.

SARA, AMELIA.

AMELIA (patrzy przez pewien czas na Sarę—potem)

Sarol

SARA.

Co rozkażesz, siostrze?

AMELIA.

Może jeszcze nie wiesz, że niebezpiecznie stanąć na drodze moich zamiarów...

SARA.

Nie miałam dotąd sposobności narazić się gniewowi twojemu.

AMELIA (groźnie).

Radzę ci nie zbliżać się zanadto do pana Proszowskiego.

SARA.

Nie kobieta wybiera.

AMELIA.

Ale ja jestem właśnie z tych kobiet, które wybierają same. Czy rozumiesz? (*Mierzą się nawzajem wzrokiem*).

(ZASŁONA ZAPADA).

## AKT DRUGI.

(Pracownia Proszowskiego — duży pokój z dużymi drzwiami szklannymi, wychodzącymi na ogród; drzwi szklanne, otwarte na rozcież. Z prawej strony (od sceny) drzwi do przedpokoju, z lewej do salonu. W pokoju, po lewej stronie biurko, w środku długi stół, pokryty zielonem suknem, zarzucony książkami i czasopismami. Naokoło ścian półki z książkami; naprzeciw biurka, pod ścianą szeslong, nad nim, na ścianie, kobierzec, na kobiercu skrzyżowane dwie szpady, pod niemi pistolety kawaleryjskie, naokoło różna broń, fuzye, pałasze i t. d. Kilka fotelików i drobnych mebelków).

### SCENA I.

PROSZOWSKI, lokajczyk JAŚ.

*(W chwili, kiedy się zastona podnosi, Proszowski siedzi przy biurku i pisze, do pokoju wchodzi Jaś).*

PROSZOWSKI (czas pewien pisze, potem podnosi głowę).

Nie dopuściłeś znów wczoraj do mnie tej

starej Kornfeldowej, chociaż przykazałem ci wyraźnie, ażebyś nie zamykał drzwi przed ubóstwem.

JAŚ.

Nie mogę sobie dać rady z tem tałatajstwem, proszę pana. Jak tylko ludzie zmiarkowali, że mój pan ma miękkie serce, toby go chcieli całego rozebrać.

PROSZOWSKI.

Za wiele myślisz, mój drogi, zamiast robić, co każe.

JAŚ.

Słucham pana.

PROSZOWSKI.

Pamiętaj o tem na przyszłość. Czy powiedziałeś panu Buttermilchowi, że go potrzebuję?

JAŚ.

Pan Buttermilch czeka na rozkazy.

PROSZOWSKI.

Niech wejdzie, a ty powiedz panu Fajnkornowi, że proszę go o raport.



JAŚ.

Słucham pana (*Wychodzi*).(*Proszowski nachyla się nad biurkiem — po chwili wchodzi Buttermilch*).

## SCENA II.

PROSZOWSKI, BUTTERMILCH.

PROSZOWSKI.

Proszę, niech pan spocznie. (*Wskazuje mu obok siebie fotel*). Mam nadzieję, że pan Buttermilch nie zapomniał o warunkach naszego układu?

BUTTERMILCH (*siada*).

Pan dobrodziej był tyle łaskaw, że pozwolił je spisać u rejenta.

PROSZOWSKI.

Podług tej umowy, należy się panu odemnie, w razie zerwania układu przed terminem oznaczonym, pensya kwartalna. Znajdzie ją pan w tej kopercie. (*Podaje Buttermilchowi kopertę, której ten nie bierze*).

BUTTERMILCH.

Pan dobrodziej chce mnie oddalić? Cóż takiego uczyniłem, że zasłużyłem na nieła-

skę mojego godnego pryncypała? Służyłem wiernie.

PROSZOWSKI.

Za wiernie, panie Buttermilch. Kiedy postawiłem cię, jako dozorcę, nad robotnikami i oddałem pod opiekę twoją składy zbożowe, prosiłem cię, żebyś zerwał z tradycjami kupców żydowskich. Mówiłem ci wyraźnie, że *nie wolno* przy wadze odstawianego zboża odejmować ani ziarneczka, że należy mierzyć uczciwie.

BUTTERMILCH.

Odstawcy nic nie szkodzi, gdy mu się urwie garstkę na korcu, a dla nabywcy tak wielkich partyj...

PROSZOWSKI (przerywa mu gościem).

Zdania pańskiego nie jestem ciekawy... Oto pensya kwartalna. (*Podaje mu kopertę — Buttermilch bierze i podnosi się, ociągając się*). Nie potrzebujesz pan wracać do czynności, bo posłałem już do składów innego nadzorcę.

BUTTERMILCH.

Panie dobrodzieju... Pan dobrodziej...

PROSZOWSKI.

Nie znamy się już, panie Buttermilch.

(*Proszowski dzwoni, wchodzi Jaś — staje na progu, Proszowski wskazuje na drzwi*). Proszę! (*Nachyla się znów nad biurkiem. Buttermilch wychodzi, grożąc Proszowskiemu pięścią — w progu chwytą go Jan za kołnierz i wypycha, Proszowski podnosi głowę*). Cóż tam wyprawiasz, Janie?

JAŚ.

Nic, proszę pana... pomogłem mu tylko trochę wyjść, bo włókł się, jakby zapomniał chodzić.

PROSZOWSKI.

Czy poprosiłeś pana Fajnkorna?

JAŚ.

Pan Fajnkorn czeka na rozkazy.

PROSZOWSKI.

Prosić.

(*Lokajczyk wychodzi — wchodzi Fajnkorn z tęgą pod ramieniem*).

### SCENA III.

PROSZOWSKI, FAJNKORN.

PROSZOWSKI.

Dzień dobry panu. (*Wskazuje ręką fotel*). Czy dużo dziś spraw bieżących?

FAJNKORN.

Jeśli tak dalej pójdzie, nie wystarczę sam.

PROSZOWSKI.

Odpczniemy sobie na jesień, po zasiewach. Cóż tam nowego?

FAJNKORN (rozkłada tekę, wydobywa z niej plikę listów, podaje jeden Proszowskiemu).

Pan Gościmski z Chełmic zapytuje, czy weźmiemy od niego jęczmień.

PROSZOWSKI (robi notatkę na liście).

Bierzemy.

FAJNKORN (podaje drugi list).

Pan Orchowski z Kościelca ofiaruje nam dwieście korcy owsa.

PROSZOWSKI (robi notatkę).

Nie odmawiać.

FAJNKORN (podaje trzeci list).

Pan Obłęgorski z Ciechlina chce nam sprzedać sto korcy pszenicy.

PROSZOWSKI (notuje).

Wziąć!

FAJNKORN.

A cena?

PROSZOWSKI.

Podług notowań w dniu odstawy. Cóż dalej?

FAJNKORN.

Pan Wichrowski z Podworowa donosi, że ułożył się z chłopami o służebności i chciałby się lasu pozbyć.

PROSZOWSKI (notuje).

Nieco później, na jesień, obecnie nie pora na drzewo. Moglibyśmy za wiele stracić.

FAJNKORN.

Wyjdziemy zresztą lepiej na tem, gdy poczekamy.

PROSZOWSKI.

A to dlaczego?

FAJNKORN.

Pan Wichrowski nie znajduje się w świętych interesach...

PROSZOWSKI.

To znaczy, że ponieważ pan Wichrowski



jest w potrzebie, wolno go wyzyskać, zmusić do cen niższych?

FAJNKORN (zaniepokojony).

Przepraszam pana, ale kupcy...

PROSZOWSKI.

Ale kupiec, chcesz pan powiedzieć, nie może bawić się w sentymentalność. Znam ten frazes, bo słyszałem go nieraz. Kupiec ma swoją własną moralność. Gdy tak mówi jaki Buttermilch, Krongold chociażby, nie dziwię się. Gdzież mieli się tacy ludzie nauczyć, że jest wszędzie i zawsze tylko jedna uczciwość. Ale pan, panie Fajnkorn, pan kończyłeś szkoły, musiałeś czytać dzieła ludzi natchnionych. (*Z wyrzutem*). O, panie Fajnkorn!

FAJNKORN.

Przepraszam... nie wiedziałem...

PROSZOWSKI.

Gdybyś pan był Buttermilchem, wypłaciłbym panu pensję kwartalną i podziękował za usługi, ale ponieważ mam nadzieję, że człowiekowi wykształconemu wystarczy uwaga życzliwa, przeto proszę pana, abyś się już raz (*akcentuje*) moich dziwactw nauczył.

FAJNKORN.

Skoro pan tak każe ..

PROSZOWSKI (nachyla się, robi notatkę na liście).

Proszę bardzo o to. Panu Wichrowskiemu odpisać, że weźmiemy drzewo na jesień, a gdyby zażądał pieniędzy na zasiewy i podatki, możemy mu dać zaliczkę, obejrzawszy, oczywiście, poprzednio jego las i spisawszy wpierw kontrakt rejentalny, abyśmy byli zakryci. Cóż więcej?

FAJNKORN.

Nadeszła pod adresem firmy petycja. Jakaś wdowa prosi o wspomnienie dla syna.

PROSZOWSKI (odkłada list na stronę).

Dowiem się w mieście osobiście o położeniu proszącej (*Spogląda na zegarek, zrywa się—do siebie*). Już wpół do szóstej, za pół godziny licytacja, a jego nie widać. (*Do Fajnkorna*) Proszę pana, panie Fajnkorn, czy pamiętał pan o tem, że już czas zaasekurować nasze składy?

FAJNKORN.

W końcu tego tygodnia ma przybyć komisja taksacyjna.

PROSZOWSKI.

Bardzo dobrze. Niech pan nie zapomina,

że w składach spoczywa cały mój majątek. Wieczorem załatwimy resztę korespondencyi, w tej chwili nie mam więcej czasu. Dziękuję panu. Ale proszę przyspieszyć asekurację. (*Fajnkorn zbiera papiery — Proszowski chodzi niespokojny po gabinecie — do siebie*). Trzebaby go poszukać. (*Sięga za dzwonek — w tej chwili wchodzi Jaś*).

JAŚ.

Dziedzic z Lachowa, proszę pana, pyta, czy może się z panem widzieć?

PROSZOWSKI.

Ale proś, proś...

(*Jaś i Fajnkorn wychodzą — wchodzi Lachowski*).

#### SCENA IV.

(*Tempo w tej scenie przyspieszone*).

PROSZOWSKI, LACHOWSKI.

PROSZOWSKI (biegnie naprzeciw Lachowskiego).

Już wpół do szóstej — za pół godziny licytacja, drzę cały z niepokoju. (*Witają się*).

LACHOWSKI.

Nie spieszyłem się, bo łudziłem się do

ostatniej chwili, że będę się mógł obyć bez  
twojej pomocy, panie Henryku.

PROSZOWSKI (z wyrzutem).

Panie Lachowski, jak można...

LACHOWSKI.

Nie dziw się staremu, mój chłopcze.  
Wstyd mu, że...

PROSZOWSKI (przerywa mu).

Pomówimy o tem później, a teraz do sprawy,  
bo chwile upływają.

LACHOWSKI.

Ztąd do hipoteki jest zaledwo minut pięć.  
Jeszcze zdążę...

PROSZOWSKI.

Interesa Lachowa znam dokładnie. Przejrzałem w godzinach rannych hipotekę i widziałem się z pańskim adwokatem. Towarzystwa jest na Lachowie 15,000 rubli, długów hipotecznych 20,000, lichwiarskich 30,000, razem 65,000. Może są jeszcze jakie drobne kwitkowe zobowiązania?

LACHOWSKI.

Ani rubla więcej.

PROSZOWSKI.

Lachowo zaś, razem z lasem, po uregulowaniu serwitutów, wartość przeszło 100,000 rubli, z czego wynika, że Krongold, pozbawiając pana kołyski waszego rodu, nietylko by dogodził swojej próżności, ale zrobiłby jeszcze dobry interes.

LACHOWSKI.

Robił-że ten człowiek kiedykolwiek inne?

PROSZOWSKI.

Ale do tego interesu nie dopuścimy go. Ponieważ niema już w tej chwili czasu do dłuższego rozpatrywania sprawy, należy dziś zapłacić zaległe raty Towarzystwa Kredytowego, a jutro, pojutrze, załatwi się resztę. (*Wydobywa z biurka dużą kopertę*). Obliczono mi w hipotece zaległą sumę: oto ona.

LACHOWSKI.

Ciężko staremu—zaprawdę.

PROSZOWSKI.

Niech pan nie zwleka. Krongold czuwa niezawodnie nad każdym ruchem pańskim. Adwokat, który będzie za niego stawał, nie spóźni się ani o sekundę.



LACHOWSKI (bierze kopertę, podnosi się).

A nasze rachunki, panie Henryku?

PROSZOWSKI.

Nie żegnamy się jeszcze dziś; pomówimy o wszystkim po licytacji.

LACHOWSKI.

Wrócę po załatwieniu sprawy.

PROSZOWSKI.

Będę czekał z niepokojem.

LACHOWSKI (zbliża się wolno do drzwi — nagle zwraca się).

Pocziwy mój, zacny chłopcze.. (*Chwyta go za obiedwie ręce*).

PROSZOWSKI (całuje go w ramię — przez chwilę trzymają się w objęciach).

LACHOWSKI.

Wrócę... zaraz... (*Wybiega*).

PROSZOWSKI.

Żeby tylko zdążył! (*Wracając do biurka, staje nagle na środku pokoju i patrzy przez szklane drzwi do ogrodu, potem do siebie*)  
Byliżby tacy bezczelni! (*Przez drzwi szklane widać w ogrodzie Kronqolda i Amelię w amazonce*).

## SCENA V.

PROSZOWSKI, KRONGOLD, AMELIA.

AMELIA (woła z ogrodu).

Czy nie prawdziwy najazd? Skradamy się do pańskiej warowni manowcami, jak podstępni zdobywcy.

PROSZOWSKI (akcentuje).

Rzeczywiście, istotną mi państwo zgotowali niespodziankę.

*(Wchodzi Amelia w amazonce, z szpicróżgą w ręku, z żokejką na głowie, za nią Krongold).*

KRONGOLD.

Moja Amelka lubi takie niespodzianki.

PROSZOWSKI.

Może państwo raczą przejść do salonu.

AMELIA.

Dziękujemy uprzejmie. Wszakżeż tylko z interesem przekraczamy progi pańskiego ustronia. *(Kokietuje go oczami).*

PROSZOWSKI (podsuwa fotele, siadają).

Jakże się pani mój bułany podobał?

AMELIA.

Ale wybornie! Bierzemy go, bierzemy na tychmiast. Jak lekko nosi, co za wdzięk w chodzie.

PROSZOWSKI.

Sądząc po stroju, domyślam się, że go pani już dosiadała.

AMELIA.

Obiegłam kilka razy cały dziedziniec.

KRONGOLD.

Ja jej zawsze mówię, żeby ona tak nie latała na koniu, jak waryatka. Do czego to podobne, na co to, po co? Tak sobie trochę jechać... dlaczego nie — to ładnie. Ale moja Amelka powiada, że ona lubi szlacheckie sztuki. Ja sobie wolę patrzeć na te sztuki przez okno.

AMELIA (do Proszowskiego, kokietując go oczami).

Pod tym względem mamy, zdaje się, równe gusta. Nie wątpię, że i pan musi lubić konie?

PROSZOWSKI.

Dużo zawdzięczam tym szlachetnym zwierzętom, pani. W niejednej pomogły mi przygodzie.

KRONGOLD.

A czy to twój papa nie lubi jechać w powozie na promenadę, gdzie wszyscy ludzie chodzą?

AMELIA.

Ponieważ i kuzynka Sara przynosi wygodne kołysanie na miękkim siedzeniu nad gwałtowny ruch w siodle, będzie papa miał zawsze towarzystwo.

KRONGOLD.

Czy to Sara umie siedzieć w powozie? To trzeba umieć.

AMELIA.

Rzeczywiście, dziwię się, że wuj Alfred, który był podobno człowiekiem wykształconym, dbał tak mało o swoją jedynaczkę. Ta nasza kuzyneczka, choć w Paryżu wychowana, ma upodobania żydóweczki z małego miasteczka.

PROSZOWSKI.

Nigdy tego nie dostrzegłem, pani, chociaż znam pannę Sarę od lat wielu.

AMELIA.

Dziękuję za łaskawość pańską w imieniu Sary, ale nas nie potrzebuje pan uwzględnić. My ją znamy.

PROSZOWSKI (z ironią).

Czy dokładnie?

AMELIA.

O, najzupełniej. Zresztą, czy to tak trudno poznać dziewczynę ubogą, która nie posiadała nigdy środków do wyrobienia w sobie wykwintniejszych gustów? Biedna ona — żal mi jej szczerze — wuj Alfred nie zostawił jej ani grosza, a dziś czasy takie nieidealne...

PROSZOWSKI (z ironią).

Jaka pani dobra, że ją los kuzynki tak bardzo obchodzi.

AMELIA.

Pragnęłabym chętnie, aby Sara wyszła za mąż, ale któż chciałby się ożenić z panną bez posagu? Ona przytem taka dziwna.

PROSZOWSKI (j. w.)

O, i bardzo. Panna Sara miewa czasem niezwykle zachcianki.

AMELIA.

Prawda? Pan ją dobrze zna.

KRONGOLD.

Ona ma tu... (*Pokazuje na czoło*).



PROSZOWSKI.

Tak, ona ma tu... (*pokazuje na czoło*) ale bardzo dużo rozumu, a tu (*pokazuje na serce*) bardzo dużo serca. (*Amelia i Krongold spoglądają po sobie*). Panna Sara nie wyrażałaby się przed obcym nigdy źle o kuzynce, chociażby miała powody do słusznego żalu. (*Przez chwilę trwa milczenie, Amelia opuszcza głowę zawstydzona*). Więc państwo biorą mojego bułanka?

AMELIA.

Czy pozwoli pan postawić jeden warunek?

PROSZOWSKI.

Służę pani.

AMELIA.

Pan, jako wojskowy, musi znać wybornie wszystkie tajemnice jazdy konnej.

PROSZOWSKI.

Jeździłem rzeczywiście dosyć dużo.

AMELIA.

Gdyby mnie pan chciał kiedy zobaczyć na swoim bułanku i udzielić mi wskazówek.

PROSZOWSKI.

Ale owszem, pani, z całą przyjemnością.

AMELIA.

O, dziękuję. Jak tylko zamieszkamy w Lachowie, rozpoczniemy nasze lekcye.

*(Krongold daje córce znaki).*

PROSZOWSKI.

Jeśli się te lekcye mają dopiero w Lachowie rozpocząć, to wątpię, czy będę mógł korzystać kiedykolwiek z uprzejmości państwa.

AMELIA.

Dlaczego? Do Lachowa tak blisko od pana.

*(Krongold mruga na córkę).*

PROSZOWSKI.

Niema nawet wiorsty, wiem, ale ono dotąd w ręku prawych dziedziców.

AMELIA.

Papa...

KRONGOLD.

Amelko...

PROSZOWSKI.

Pan Lachowski zapłacił zaległe raty Towarzystwa, wskutek czego licytacja spełznie.

KRONGOLD (zrywa się z fotelu).

Kto to panu powiedział? To nie może być.

PROSZOWSKI (podnosi się także).

Nie powtarzałbym wiadomości nieprawdziwej.

(*Za sceną słyhać w tej chwili daleką, głu-  
czą wrzawę*).

KRONGOLD.

Ja na to nie pozwolę! Amelko, chodź, spiesz się! (*Chwyta ją szorstko za ramię*).

AMELIA.

Ależ papo...

KRONGOLD (z gniewem).

Kiedy ci mówię chodź, to chodź!

AMELIA (podnosi się—do Proszowskiego).

Nic nie rozumiem.

PROSZOWSKI (z akcentem szyderskim).

Przedewszystkiem interes, pani. (*Wrza-  
wa zbliża się—Krongold biega po scenie, nie  
mogąc trafić do drzwi*). Tędy, tędy, panie.  
(*Proszowski wskazuje mu drzwi do przedpo-  
koju, Krongold wybiega, za nim Amelia, któ-  
ra posyła Proszowskiemu z progu powłóczy-*

*ste spojrzenie, mówiąc „Do widzenia“ — wrzawa już bliska, ciągnęła — Proszowski dzwoni — wpada Jaś zdyszany, w potarganej odzieży).*

## SCENA VI.

PROSZOWSKI, JAŚ.

PROSZOWSKI.

Cóż to za wrzawa?

JAŚ.

Proszę pana... ży... żydy... taka chmara...  
całe miasto...

PROSZOWSKI.

Mów tak, abym cię mógł zrozumieć.

JAŚ.

Wszystkie żydy... z miasta... tu... le... cą...  
wykrzykują... grożą... pomstują... Chcą biedz  
do pana... szamotali się ze mną przy  
drzwiach — ledwom ich wypchnął. Proszę  
pana, niech pan rozkaże, a ja uderzę  
w dzwon, na dziedzińcu... zbiegną się ro-  
botnicy, weźmiemy drągi żelazne, polecę na  
nich i rozpędzimy tę hałastrę.

PROSZOWSKI.

Nie potrzeba. Wyjdiesz do nich i po-

wiesz im, że chcę się dowiedzieć, dlaczego podnoszą taką wrzawę pod moim bokiem. Niech wybiorą z pomiędzy siebie dwóch, trzech, bo więcej nie przyjmę.

JASĆ.

Proszę pana, czy to warto gadać z taką hołotą? Niech tylko pan pozwoli, a ja ich sam drągiem przywitam. (*Z prośbą*). Niech mój pan pozwoli...

PROSZOWSKI.

Idź i wykonaj, co ci powiedziałem.

*(Jaś wychodzi niechętnie, Proszowski staje przy biurku, opiera rękę na niem i czeka. Po chwili wpadają z wielką furją Fruchtbaum, Postbrief i Cukerwasser, na widok je-dnak Proszowskiego pokornieją, kłaniając się).*

## SCENA VII.

PROSZOWSKI, FRUCHTBAUM, POSTBRIEF,  
CUKERWASSER.

PROSZOWSKI (mierzy ich przez chwilę wzrokiem,  
potem)

Kto wy jesteście?

FRUCHTBAUM.

Pana dobrodzieja kłania się Fruchtbaum—



Fruchtbaum, porządny kupiec. (*Wskazuje na Cukerwassera*). A to Cukerwasser, godna osoba, szanowna osoba, morajne. (*Wskazuje na Postbriefa*). A ten żydek, to arendarz z Lachwa, bardzo porządny arendarz.

PROSZOWSKI.

Czego odemnie chcecie?

FRUCHTBAUM (wysuwa się).

Dlaczego mamy co chcieć? My nic nie chcemy, my tylko przyszli zapytać pokornie, dlaczego pan dobrodziej tak żydki przesładuje?

PROSZOWSKI.

Jestem przecież sam żydem.

FRUCHTBAUM.

Pan dobrodziej powiedział wielkie słowo. To dlaczego pan dobrodziej chce, aby wszystkie żydki na całą okolicę z głodu umarli?

PROSZOWSKI.

W składach moich i biurach pracuje połowa żydów. Pracy i chleba nie skąpię współwyznawcom.

FRUCHTBAUM.

Pan dobrodziej ma delikatny rozum, a ga-

da, jakby nie wiedział, że idzie o interesy. Po co żydki mają pracować, kiedy oni mają głowę do interesy? A bo to mało głupich chłopów w nasze okolice? Aj, aj, żeby ja tyle rubli miał, ile gojów pocałuje pana dobrodzieja w rękę za robotę. Niech oni sobie robią. Oni mają takie mocne plecy, jak woły.

PROSZOWSKI.

I wy musicie pracować, bo dopóki nie pokochacie znoju, dopóki was trud nie złamie, a pot wasz nie użyźni ziemi, która was żywi, nie nauczycie się szanować cudzej własności.

FRUCHTBAUM.

Pan dobrodziej sobie tak po uczonemu mówi, tak sobie żartuje z ubogie żydki. Pan dobrodziej ma rację. Są pare kilka żydki, takie niedołągi, takie głupie, co nie mają głowy do interesy, to oni sobie pracują. Ale przez co pan dobrodziej prześladuje godne osoby, porządne kupcy?

PROSZOWSKI (podnosi głos).

Komuż to z pomiędzy was wyrządziłem krzywdę?

FRUCHTBAUM (podnosi głos).

Jakto, komu? Pan dobrodziej zakupił

zboże z całej okolicy, pan dobrodziej rozpożycza duże pieniądze między szlachtę, pan bierze procent bankowy! A co będzie z nami, co my poczniemy? Pan dał panu Lachowskiemu na raty! To zbrodnia, to rozbójstwo!

(*Postbrief i Cukerwasser wturują: To zbrodnia, to rozbójstwo!*)

PROSZOWSKI.

Panie Fruchtbaum, nie podnoś asan głosu w mojej obecności.

FRUCHTBAUM.

Przepraszam pokornie pana dobrodzieja, ale mnie się stała taka krzywda...

PROSZOWSKI (w tonie swobodniejszym).

Jakaż to krzywda stała się panu Fruchtbaumowi?

FRUCHTBAUM.

Ja stracił przez pana dobrodzieja cztery tysiące rubli. Ja je muszę oddać panu Krongoldowi, bo jakbym nie oddał, to onby mnie zaskarżył do kahału i rabinby kazał, żebym ja oddał.

POSTBRIEF.

Mnie pan Lachowski — niech un przepa-

dnie — wyrzucił z dziećmi na drogę. Co ja pocznę? Taka dobra buła arenda.

CUKERWASSER.

Wszystkie faktory straciły chleb przez pana!

PROSZOWSKI.

Więc czego żądacie?

FRUCHTBAUM (zbliża się więcej—poufale).

Proszę pana, panie Proszowski, co my stracili, niech już zginie. Ale po co my się mamy dalej gniewać? Po co? My żydy, pan żyd, my swoi, my możemy robić razem interesy.

PROSZOWSKI.

Szukam właśnie wspólników.

FRUCHTBAUM (poufale).

Proszę pana. Pan, to taki wielki szczupak, a my sobie takie małe szczupaczki. Na co ma wielki szczupak połykać małe? Jest dużo inne ryby: karpie, okunie, płotki, śledzie. One są też smaczne. My sobie będziemy łykać razem te inne ryby, pan większe, my mniejsze. Pan nie potrzebuje wcale nic robić. Na co panu handlowanie? Pan sobie potrzebuje jeździć w powozie, na

koniu, bawić się z fajną pannami. My wszystko za pana zrobimy.

(*Podczas kiedy Fruchtbaum mówi, Postbriet i Cukerwasser wtórują mu giestami*).

PROSZOWSKI.

I cóż będzie z tej spółki?

FRUCHTBAUM.

Co ma być? Będzie to, co musi być. My sobie połkniemy wszystkie karpie, okunie, śledzie, wszystkie ryby inne, my sobie będziemy pływali sami w tej okolicy (*zakreśla wielkie koło*) i nam będzie dobrze i panu dobrze.

PROSZOWSKI.

Pozwoliłem wam rozmyślnie mówić, aby spojrzeć na dno istoty waszej. Czy nie mówili wam głos wewnętrzny, że tak czynią tylko drapieżne zwierzęta, które się zabija, gdy je dosięgnąć można?

FRUCHTBAUM.

Pan mówi taką brzydką rzecz, pan mówi, jakby nie był żyd.

PROSZOWSKI.

Pragnę, abyście i wy tak mówili i czuli. (*Z prośbą*). Współwyznawcy moi! Gardzi



nami cały świat, cała ludzkość odpycha nas, jak trędowatych. A przecież i w naszą pierś włożył Stwórca serce, mieszkanie litości i szlachetnych zapałów! Posłuchajcie głosu współplemieńca, proszę was, błagam! Do hańby całych wieków nie dorzucajcie nowych powodów! (*Żydzi spoglądają po sobie — wskazują na czoła*). Niech się już raz ta straszliwa klątwa ludów innych skończy!

## FRUCHTBAUM.

Już ja widzę, że pan nie ma głowy do interesów. Ja panu jeszcze co powiem. (*Zbliża się więcej — z prośbą*). Dlaczego pan dobrodziej siedzi w takiej dziurze, jak nasze miasteczko? To nie pasuje dla takiego pana, jak pan dobrodziej. Tu niema ani zabawy, ani kompanii, ani honor! Dla takiego pana pasuje wielkie stolicel! Aj! jak ładnie, jak wesoło w Warszawie.

PROSZOWSKI (postępuje kilka kroków ku żydom).

Gdybym wierzył, że wszyscy żydzi tak myślą i czują, jak wy, nie zwlekałbym ani chwili. Opuściłbym strony, które widziały kołyskę ojca, dziada i pradziadów moich, rzuciłbym pracę bez nadziei i nagrody. Ale wy nie jesteście Izraelem, wy-

rzutkami tylko jesteście ludu, umiłowanego przez Jehowę.

*(Za sceną wrzawa).*

FRUCHTBAUM.

Czy pan słyszy? Tam, przed domem, stoi cała gmina, wszystkie żydy z miasta myśla, jak my.

POSTBRIEF, CUKERWASSER (razem).

Oni myślą wszyscy, jak my.

PROSZOWSKI.

Złość to wasza z nich woła. Być nie może, aby tysiące ludzi pragnęło żyć jedynie krzywdą bliźniego.

*(Żydzi spoglądają po sobie, szepcząc: „My-szuga“).*

FRUCHTBAUM.

Aj! aj! jak pan ślicznie mówi! Sam rabi nie mówi pięknie. Dlaczego pan z taką piękną mową siedzi w naszej dziurze? Kto będzie tu słuchał takie ładne gadanie? Kto? My sobie proste żydy, my rozumiemy się tylko na interesy. Niech pan sobie jedzie do wielkie miasto. Tam rozumieją się na takie śliczne gadanie.

PROSZOWSKI.

Zostanę między wami, aby was nauczyć pracy i uczciwości.

FRUCHTBAUM.

To ciężkie uczenie. Na co my się mamy uczyć od pana? My się już nauczyli, co nam potrzeba. My mamy swoje chedery, swoje mełamedy, swoje rabiny. Czy to ostatnie słowo pana dobrodzieja?

PROSZOWSKI.

Co czynię—wiecie, co czynić będę—słyszeliście. A teraz proszę mnie opuścić, gdyż czas mój drogi.

FRUCHTBAUM (z usilną prośbą).

Panie Proszowski! Dlaczego pan z żydami wojuje? Ja pana proszę, ja pana błagam, ja panu każę, niech pan z nami nie wojuje. Panie Proszowski! Pan taka godna osoba, pan taki wielki pan, a pan się żydów nie wstydzi. To wielki honor dla nas, że się taki pan nie wstydzi, że jest żyd. Panie Proszowski, niech pan nie wojuje ze swoimi.

PROSZOWSKI (z mocą).

Pókiż tego będzie? Proszę mnie opuścić!

FRUCHTBAUM (z tłumioną nienawiścią).

Panie Proszowski! Czy pan widział kiedy, jak mały szczeniak płynie przeciw prądowi wielkiej rzeki? On taki mały, a ona, ta rzeka, taka ogromna i mocna. (*Podnosi głos*). Panie Proszowski, my, to taka mocna, ogromna rzeka; (*za sceną wrzawa*) my, to taki prąd, co nawet dużego psa złapie i ściągnie na samo dno. (*Prostuje się*). Pan mówi, że pan żyd. To ja pana zaskarżę do kahału i pan musi przyjść, bo pan żyd.

PROSZOWSKI (z mocą).

Przyjdę, bo wierzę, że nie tacy, jak wy, zasiadają w radzie gminy, że słowo prawdy chętniejszych tam znajdzie słuchaczów. (*Postępuje ku żydom, wskazuje na drzwi*). A teraz precz z przed oczu moich, precz!

FRUCHTBAUM.

Aj! aj! jaki pan mocny, jaki mocny!

POSTBRIEF, CUKERWASSER (razem).

Jaki mocny!

(*Wpada Lachowski—Fruchtbaum, Postbrief, Cukerwasser wychodzą — za sceną wrzawa, która się oddala*).

## SCENA VIII.

LACHOWSKI, PROSZOWSKI.

LACHOWSKI.

Widzisz, na co się narażasz!

PROSZOWSKI (ze smutkiem).

Rzeczywiście, o takich stosunkach nie może mieć wyobrażenia wychowanec innej cywilizacji. Zdawałoby się, że dopuściłem się niesłychanej zbrodni, postępując, jakby uczynił każdy przeciętny uczciwy człowiek. Przecież nie burzę starego zakonu, nie ruszam najdrobniejszej cegiełki z świątyni rabinów, nie jestem odszczepieńcem od tradycyji Izraela.

LACHOWSKI.

Burzysz więcej, bo rozrywasz sieć, którą lud twój zarzucił na nas i ściągnął tak mocno, że nam już tchu zabrakło. (*Z boleścią*). Oni nas tak serdecznie umiłowali, jak owa bieda z opowieści, która szła za nędzarzem aż do trumny. A ty siejesz niezgodę między nami a nimi. To nie wolno, panie Henryku!

PROSZOWSKI (z cicha).

Nie spodziewałem się takiego oporu.



LACHOWSKI.

Zamiary twoje rozumiem i odczuwam, ale zbyt one potężne na siły jednego człowieka. Motłochu żydowskiego do siebie nie dźwigniesz, a on może cię zdeptać.

PROSZOWSKI.

Ktoś musi być pierwszym, a nie wątpi, kto dopiero rozpoczął. Zresztą, jeśli nic innego, to nie pozwoliby mi już teraz honor mężczyzny zawrócić się z drogi, na której stanąłem. Lecz nie mówmy już o tem, przejdźmy raczej do interesów. (*Podsuiwa fotele—siadają*). Więc Lachowo ocalone?

LACHOWSKI.

Zapłaciłem raty i licytacya spełzła.

PROSZOWSKI.

Krongold wróci teraz prawdopodobnie weksle Fruchtbaumowi, które będzie trzeba zapłacić. Proszę... niech mi pań nie przerywa. Należy ułożyć się koniecznie z chłopami o służebności.

LACHOWSKI.

Mam nadzieję, że nie będą się ociągali, gdy się przekonają, że ostanę się przy Lachowie. Żydzi ich rozmyślnie bałamucili.

PROSZOWSKI.

Ułożywszy się z chłopami, sprzedamy kawał lasu. Ja ten las kupię, odtrącając z ceny pieniądze, które wyłożę na uregulowanie pańskich interesów.

LACHOWSKI.

Nie wiem, jak ci podziękować, panie Henryku!

PROSZOWSKI.

Uściskiem dłoni uczciwego człowieka, co więcej warte od miliona słów najwytworniejszych. W ten sam sposób i mój ojciec kiedyś panu za przysługę dziękował. (*Poddają sobie obiedwie ręce*).

LACHOWSKI.

A teraz czas do domu, gdzie mnie żona z niepokojem czeka. Spodziewamy się syna mojego Abrahama jutro u siebie.

PROSZOWSKI.

Przybędę od samego rana ucałować ręce pani Lachowskiej.

*(Jaś wsuwa się z miną tajemniczą).*

JAŚ.

Proszę pana.

PROSZOWSKI.

Czego chcesz?

JAŚ.

Proszę pana, jakaś pani chce się z panem widzieć.

PROSZOWSKI.

Pani? O tej porze? Nie pytałeś, czego żąda?

JAŚ.

Nie chciała powiedzieć nazwiska.

LACHOWSKI.

Może masz jakie inne wyjście?

PROSZOWSKI (do Jasia).

Przeprowadź pana przez salon i nie wchodź do mnie bez dzwonka.

LACHOWSKI.

Do widzenia. (*Wychodzi z Jasiem—Proszowski zamyka drzwi za nimi—potem otwiera drzwi od przedpokoju i mówiąc „proszę“, odstępkuje ku środkowi—wchodzi Sara, odrzucając z głowy czarną chustkę koronkową.*)

## SCENA IX.

PROSZOWSKI, SARA.

*(Na dworze zapada zmrok wieczorny).*

PROSZOWSKI (głosem stłumionym, zdziwiony).

Sara! Jak pani mogła... ludzie tacy nie-pocziwi...

SARA (która, wszedłszy przyspieszonym krokiem, stoi kilka chwil zawstydzona).

Tak szybko biegłam...

*(Proszowski bierze ją za rękę, prowadzi do szezlongu i staje nad nią).*

PROSZOWSKI.

Uspokój się pani – drżysz cała...

SARA (z początku zdyszana, mówi głosem stłumionym).

Już od rana wiedziałam, że żydzi knują coś przeciw tobie, panie Henryku. Wuj Krongold opowiadał przy herbacie o oburzeniu całego miasta. Od samego południa płynęły na rynek ze wszystkich ulic i zaułków fale czarnego ludu, a po nad tłumami unosił się, jakby gniewny szum wód morskich, pryskających z sykiem żmii o ka-

mienie skalistego brzegu. (*Krótką pauza — potem szybsze tempo*). Wyglądając oknem, czułam, że to ogromne cielsko ciemnego motłochu porwała jakaś nienawiść, że miotała niem jakaś groźna zaciekłość, a komu groziła, dowiedziałam się wkrótce. (*Podnosi głos*). Oni grozili tobie, panie Henryku, tobie, oni... tobie... Czy słyszysz? Ten brudny, ten podły tłum... groził tobie...

PROSZOWSKI (siada obok niej na foteliku, chwytając jej rękę).

Uspokój się, panno Saro. Ten motłoch nie wart, abys się ty jego złością niepokoiła.

SARA.

Przed godziną wpadło na rynek dwóch ludzi. Zaledwo zmieszali się z tłumem, zawrzało w łonie ogromnego cielska. Jadowity syk zamienił się na wrzawę; z groźnego szmeru wybuchł jeden długi, przeciągły okrzyk bezbrzeżnej nienawiści i runął razem z czarnym ludem w stronę twojego mieszkania. Oni złorzeczyli tobie, panie Henryku!

PROSZOWSKI (z pieszczotą).

Saro...



SARA.

Pospieszyłam za nimi na skrzydłach trwogi, chciałam ich powstrzymać... nawrócić... ale uprzedzili mnie. Nienawiść szybko biegnie. Widziałam... jak napadli twój dom, jak wtargnęli do wnętrza... i modliłam się do Boga chrześcian, bo mściwy Adonai opuścił szlachetnych.

PROSZOWSKI (zapatrzony w nią z miłością — szeptem).

Najdroższa...

SARA.

Co się działo przez długie... o, długie chwile, nie wiem... Trwoga przesłoniła mi oczy... Nareszcie oderwał się tłum od twój domu i powłókł się ku miastu, jak ręką pana dotknięty pies, ale ten pies warczał nową groźbą. Oni ciebie chcą zaciągnąć przed sądy swoje, oni ciebie chcą sporniewierać... zbezczęścić... tak wołali... grozili... Ty tam nie pójdziesz... Ten podły motłoch nie będzie ciebie sądził... Byłoby to zanadto okrutne! (*Pauza — po chwili*). Przyszłam, aby cię przestrzedz... prosić...

PROSZOWSKI (osuwając się przed nią na kolana).

Czyż dopiero nienawiści było potrzeba, aby się serce twoje otworzyło?... Teraz je-

steś już moją... moją... teraz należysz już do mnie... tylko do mnie... na zawsze... do ostatniego tchnienia...

SARA.

Boże...

PROSZOWSKI (obejmuje ją).

Ubóstwo twoje okrywało się dumą wobec nikczemnych dostatków bogacza, jakby za wszystko złoto, które drzemie w łonie ziemi, można nabyć jeden dźwięk szczerego uczucia. Ale przestрах uderzył w serce twoje i wydobył z niego tony wiecznej młodej pieśni. Kocham ciebie, kocham każdą myśl twoją, każdy zachwył duszy twojej, kocham od lat wielu, jak się miłuje ostatnie marzenie po burzach życia. Już cię teraz nie opuszczę, już teraz nie!

SARA.

Henryku! (*Obejmują się w długim uścisku — zmrok zapada gęstszy — rozplatają uścisk — trzymają się za ręce — patrzą na siebie przez chwilę*).

PROSZOWSKI.

Tak długo czekaliśmy na tę chwilę wyznania!

SARA.

Połączyło nas tchnienie ziemi, która ży-  
wiła naszych ojców!

PROSZOWSKI (podnosi się z kolan, siada znów na  
foteliku).

To tchnienie zatruli nasi współwyznawcy.

SARA.

Henryku! Sąż oni rzeczywiście naszymi  
współwyznawcami? Rozumiejąż oni nasze  
smutki i radości, kochająż nasze ideały  
i cele?

PROSZOWSKI.

Nikczemna praca całych wieków rzuciła  
między nich a nas olbrzymią górę odmien-  
nych wyobrażeń i obyczajów. Tę górę trze-  
ba usunąć.

SARA.

Co wieki zbudowały, czy usunie dwoje  
ramion, choćby najsilniejszych?

PROSZOWSKI.

Wielka jest moc usilnej woli.

SARA.

Żadna potęga tej ziemi nie przemoże nie-  
nawiści do innowierców, ziejącej z wiary

tych ludzi, których ty nazywasz naszymi współwyznawcami. Dlaczego się łudziś, Henryku?

PROSZOWSKI (podnosi się).

Jest rzeczą męża stawić czoło temu, co niewiasty nazywają niepodobieństwem.

SARA (podnosi się).

Świat Izraela nie jest naszym światem, mściwa wiara Jehowy nie naszą wiarą. Dlaczego nie rzucić, czego kochać nie można?

PROSZOWSKI.

Saro! Przodkowie nasi modlili się do Boga Abrahama i Izaaka.

SARA.

Henryku! Każde uderzenie twego szlachetnego serca odpycha cię od Boga zemsty i wyłączności, a biegnie do Niego, do tego Pana chrześcian, który przytulił do swego łona wszystkich, cały świat, wielkich tej ziemi i maluczkich, grzesznych nawet i występnych. *(Za sceną słyhać z daleka dzwonek na „Ave Maria“; Proszowski i Sara schylają mimowoli głowy — przez chwilę milczenie — potem)* Słyszysz — on wzywa nas do siebie, on, Bóg miłości i przebacze-

nia! (*Dzwonek ustaje*). W tej chwili sławią miliony ust chrześcijańskich pamięć Maryi, co wśród ludu naszego żyła, miliony ust nie przeklinają innowierców, lecz szepczą: „Ave, Ave!“

PROSZOWSKI.

Kusisz mnie słodkim głosem miłości, a mogłażbyś mnie szanować, gdybym zdrzął przed niebezpieczeństwem?

SARA.

Więc dobrze, poczekam, ale jednej rzeczy mi nie odmówisz. Oni ciebie jutro zapozwą przed swoje sądy, oni cię chcą sporniewierać. Ty tam nie pójdziesz!

PROSZOWSKI.

Dopóki jestem żydem, obowiązkiem moim poddać się pod ich zwyczaje.

SARA.

Niema siły, która mogłaby cię zmusić do stawienia się przed sędziami kahału.

PROSZOWSKI.

Wiem! Nie ich też wola, lecz moja, zaprowadzi mnie przed ten trybunał szczególny. Niech mi się zbliśka przypatrzą, niech usłyszą głos boleści i prawdy, a mo-



że drgną w nich serca po ludzku. Chcę do nich przemówić!

SARA.

Ta czarna zgraja rzuci się na ciebie...

PROSZOWSKI.

Nie po raz pierwszy stanę przed motłochem, nie obawiaj się!

SARA.

O tak mało proszę...

PROSZOWSKI.

Niewiasta idzie za mężem, Saro.

SARA.

Niech więc będzie! Prawdę mówisz, że niewiasta powinna iść za mężem. Pójdę więc za tobą. (*Bierze chusteczkę*).

PROSZOWSKI.

Co chcesz uczynić?

SARA.

Już późno, czas wracać...

PROSZOWSKI.

Mów... co zamierzasz...

SARA.

Iść za tobą, chociażby pod pręgierz. Wszakżeż to teraz mój obowiązek! Będę świadczyła za tobą przed sądem tej gawie-dzi, będę świadczyła! (*Chwyta go za obie-dwie ręce*). Henryku! (*Patrzy na niego przez chwilę z miłością*). Kocham cię! (*Wybiega drzwiami do ogrodu; za nią Proszowski*).

(ZASŁONA ZAPADA).

## AKT TRZECI.

(Duża brudna izba, odrapane ściany. W głębi drzwi, po obu stronach drzwi dwa niskie okna, w których kilka szyb wybitych; z lewej strony drugie drzwi z szybą szklaną, prowadzące do komory. Pod lewą ścianą (od sceny) długi stół, przykryty zielonem suknem, na stole księga, dwa świeczniki pięcioramienne; za stołem duży fotel, obok niego z dwóch stron dwa krzesła; pod ścianą prawą dwa inne krzesła. Czynność odbywa się wieczorem).

### SCENA I.

POSTBRIEF, FRUCHTBAUM.

*(W chwili, gdy się zastona podnosi, zapala Postbrief świece — Fruchtbaum stoi na środku sceny i rozgląda się. Zapaliwszy świece, Postbrief odchodzi na środek sceny).*

POSTBRIEF.

Aj, aj, jakie parade! Żeby ja tak szczęście miał, co tu nie tak fajny, jak w sam kryminal.

FRUCHTBAUM.

On gorszy od taki, co siedzi w kryminał.

POSTBRIEF.

Ja wiem, co un gałgan. Ja przez niego stracił karczmę w Lachowie. Niech un przepadnie. (*Pluje*).

FRUCHTBAUM (bierze z pod ściany jedno krzesło, ustawia je naprzeciw stołu, Postbrief bierze drugie i stawia je obok stołu, od strony drzwi).

Niech on będzie daleko od swoje sędzie.  
(*Wchodzi Cukerwasser*).

## SCENA II.

FRUCHTBAUM, POSTBRIEF, CUKERWASSER.

(*Podczas tej sceny Postbrief krząta się po izbie, ustawia krzesła, poprawia sukno na stole*).

CUKERWASSER (wchodząc).

On tu zaraz będzie, ten gałgan.

FRUCHTBAUM.

Ty jego widział?

CUKERWASSER.

Moje żydki chodzą za nim, jak złe myśli

za złodziejem. Oni jego widzieli, jak wsiał do powozu.

FRUCHTBAUM (do Postbriefa).

Jak on się pokaże, ty leć zaraz do rabina.

POSTBRIEF.

Schon git!

(*Fruchtbaum i Cukerwasser wychodzą; przez chwilę objaśnia Postbrief świecę—potem wsuwa się głowa Krongolda*).

### SCENA III.

POSTBRIEF, KRONGOLD, AMELIA.

KRONGOLD (wchodzi).

Niema jeszcze nikogo, to bardzo dobrze. (Wchodzi Amelia, Postbrief usuwa się na stronę i kłania się kilkakrotnie, na co przybywający nie zważają).

AMELIA (ogląda się po izbie i wybucha śmiechem).

Więc tu będą sądzili tego wytwornego panicza, tego paryżanina, tu, w tej cuchnącej norze! (Wydobywa z kieszeni flakonik z perfumami, zlewa sobie chusteczkę, przykłada do nosa). Jeśli to ma być sportem,



to, zaprawdę, oryginalną zabawkę wymyślił sobie pan Proszowski. Ale ja lubię właśnie takie dziwactwa. To pachnie lordem angielskim. (*Przypatruje się Postbriefowi przez lornetkę*). A może to jeden z jego sędziów? (*Wybucha powtórny śmiechem*). To byłoby niezrównane, gdyby go on sądził.

POSTBRIEF.

Przepraszam jasne panienki, ja sobie tylko ubogi żydek. W kahale siedzą godne osobe, wielgie kupcy, pan Fruchtbaum...

AMELIA.

Fruchtbaum... godna osoba... wielki kupiec... nie!.. to można umrzeć ze śmiechu!

KRONGOLD (który przez ten czas rozglądał się z pogardą po izbie).

Kiedy widziałaś, jak taki sąd wygląda, to chodź; mam dosyć tego widoku!

AMELIA.

Ależ papo, nie darowałabym sobie nigdy w życiu, gdybym się pozbyła tak świetnego widowiska. Wystaw sobie pana Proszowskiego, stojącego przed sądem chałciarzy z naszego miasteczka! Taki spektakl wart wdychania woni palestyńskich,

choćby przez całą godzinę. Wzięłam zresztą ze sobą cały flakonik... Zafunduję ci połowę, papo. (*Śmieje się*).

KRONGOLD.

Przecież tu nie możemy zostać. Coby na to świat powiedział! Krongold, pan Krongold, w izbie kahalnej, to nie może być!

AMELIA.

Mówił mi Postbrief, że można przypatrzyć się z ukrycia całej komedyi. Nikt nie zobaczy, papo, a co się zabawimy, tego nam nikt nie odbierze.

KRONGOLD.

Słuchaj Amelka, ty nie nadużywaj moją dobroć. Ja dla ciebie same głupstwa robię. Ja dla ciebie muszę zapomnieć, że mi ten waryat zabrał Lachowo. Taka pańska rezydencya! Taki zamek, taka sala z pałazami! Waryat!

AMELIA.

Pańskich rezydencyj jest dla milionera dużo w kraju, a zresztą nie powiedziane jeszcze, żeby Lachowo dla nas na zawsze przepadło. Niech tylko dojdę do celu, a wtedy...

KRONGOLD.

Ja wiem, że ty wszystko potrafisz. Ale teraz chodź. Mógłby kto nadejść, a byłoby niepięknie, gdyby nas tu zastano.

AMELIA (pieści ojca).

Papeczko, nikt nie zobaczy, a... zabawimy się.

KRONGOLD.

Jaka to zabawa?

AMELIA.

Czy lepiej bawią się lordowie angielscy, gdy urządzają wyścigi ślimaków? Znasz przysłowie: panu i kpu wszystko wolno.

KRONGOLD.

Panu i kpu wszystko wolno... Tak, to ładnie. A ja co?

AMELIA.

Ma się rozumieć, że pan, wielki pan! Nie opieraj się, papeczko. Proszę, bardzo proszę.

KRONGOLD (do Postbriefa).

Ty mówił, Postbrief, że można widzieć sąd z ukrycia?

POSTBRIEF (wskazuje na drzwi ze szklannem oknem).

Jest tu fajny izba, jasny panie, komora dla godne osobe. Ja tam postawił dwa krzeselki i szwieca dla jaśnie państwa.

KRONGOLD.

Nie chciałbym, aby kto wiedział, że tu byłem. (*Wydobywa pugilares, daje Postbrieffowi rubla*).

POSTBRIEF.

Na co kto ma wiedzieć? (*Kłania się, dziękując*).

(*Za sceną słycać wrzawę*).

KRONGOLD.

Postbrieff, prowadź nas do tej izby. (*Postbrieff prowadzi Krongolda i Amelię do komory—Krongold zagląda do środka*). Amelka, ja się w tej dziurze uduszę. Co ty ze mną wyrabiasz!

(*Na dworze rośnie wrzuwa—Krongold i Amelia wchodzi do komory—do izby wbiega kilkunastu żydów—przez okna zaglądają inni*).

SCENA IV.

CIŻ i ŻYDZI.

1-szy ŻYD.

Rozbójnik!

2-gi ŻYD.  
Gałgan!

3-ci ŻYD.  
Niech jemu ta choroba potłuczel!

4-ty ŻYD.  
Niech jemu jedzenie w gardle staniel!  
(*Za sceną ciągły szmer — słysząc turkot po-  
wozu—żydzi biegną do okien*).

1-szy ŻYD.  
Przyjechał!

2-gi ŻYD.  
Aj, aj, jakie parade!  
(*Postbrief wybiega*).

3-ci ŻYD.  
Taki pan, a taki gałgan!  
(*Wchodzi Proszowski pewnym krokiem, w rę-  
ku trzyma laskę*).

## SCENA V.

PROSZOWSKI i POPRZEDNI.

PROSZOWSKI (rozgląda się, zdejmując kapelusz,  
potem donośnym głosem)

Zawiadomić sąd kahalny, że przybyłem.



(Odpowiada mu głuchy szmer; żydzi, zbici w gromadkę, pokazują go sobie palcami, szepcząc, on mierzy ich wzrokiem, kilka chwil trwa ta niema gra. Potem wchodzi rabin pewnym krokiem, za nim Cukerwasser, drugi sędzia i Fruchtbaum. Rabin, wchodząc, pozdrowia zgromadzonych: „Szolem alejkim!“ Odpowiadają mu takim samem pozdrowieniem. Rabin siada na fotelu, za stołem, obok niego sędziowie, na czwartem krześle Fruchtbaum, naprzeciw stołu Proszowski).

## SCENA VI.

PROSZOWSKI, RABIN, FRUCHTBAUM,  
SĘDZIOWIE i POPRZEDNI.

RABIN (przypatruje się przez chwilę uważnie Proszowskiemu, potem mówi).

Uszanuj zwyczaje ludu swojego, panie Proszowski. Nakryj głowę.

PROSZOWSKI.

Przepraszam, nie wiedziałem. (*Kładzie kapelusz na głowę*).

RABIN.

Nie w tem miejscu, panie Proszowski, spodziewałem się powitać syna Abrahama, niegdyś dobrodzieja naszej gminy i synagogi.

PROSZOWSKI (spokojnie).

Nie z własnej przyczyny, panie rabinie, przestąpiłem próg tego domu, lecz wezwany przez sąd kahału.

RABIN (bardzo wolno).

Kiedy rabi Jochanan ben Sakai, wielki uczeń słodkiego Hillela, spostrzegł, że Izraelowi grozi, bez wodza i rządu, rychły upadek, wtedy założył pierwszą szkołę w Jabne, a przy tej szkole ustanowił synedryon i najwyższy sąd, Bet Din, aby ulubieńcy Jehowy mieli po wszystkie czasy swój rząd i swojego wodza. Głupi cesarz pogan — Adonai, rzucił na jego oczy zasłonę, iż nie rozumiał celów rabi Jochanana — okrutny Wespazyan — niech jego pamięć przepadnie — przychylił się do prośby wielkiego ucznia słodkiego Hillela i oto przetrwał naród królewski wszystkie burze i ostał się mimo złości ludzi krzyża.

*(Słowem rabina towarzyszy w zebraniu szmer uwielbienia; odpowiednia gestykulacja).*

PROSZOWSKI.

Ponieważ stawiłem się na wezwanie wasze, przeto nie potrzeba z mojej strony zapewnienia, że uznaję w zupełności doniosłość dzieła rabi Jochanana ben Sakai. *(Z ironią)*. Korząc się przed tobą, wysoki

sądzie Izraela, pytam, jakaż wina pozwala mnie przed sprawiedliwość waszą? (*Prostuje się na krześle*).

RABIN (patrzy na niego bystro).

Nie pokora mówi z ciebie w tej chwili, synu Abrahama Proszowskiego. (*Pauza — zwraca się do Fruchtbauma*). Powtórz, Fruchtbaum, oskarżenie wobec sądu i ludu Izraela. (*Zgromadzeni nadstawiają ciekawie uszu*).

FRUCHTBAUM (siedząc).

Na co mam gadać, co on zrobił, ten zły człowiek... ten...

PROSZOWSKI.

Wyrażaj się ostrożniej panie Fruchtbaum.

RABIN.

Oskarżaj spokojnie, Fruchtbaum; w sądzie zasiadasz.

FRUCHTBAUM.

Dlaczego ma Fruchtbaum być spokojny, kiedy on zrobił rechwach w całej okolicy? On zepsuł interesy wszystkim żydom, on ukradł godnym osoby dużo zarobki. (*Szmer oburzenia w zgromadzeniu*). On nie chce, aby żydki handlowali porządnie z goje i aby mieli rybke na szabas. (*Szmer obu-*

rzenia). On gada, żeby Izrael pracował, jak te chrześciany, on buntuje gojów na naszymi! (*Podnosi się zaperzony*). On jest paskudny człowiek...

PROSZOWSKI.

Pilnuj języka, bo ci go do gardła wtłoczę.

RABIN.

Fruchtbaum, ty w sądzie jesteś.

FRUCHTBAUM.

To dlaczego on mi zrobił taką wielką krzywdę, dlaczego on mi ukradł tego pysznego goja, tego Lachowski? A ja go trzymał tak mocno. (*Z najwyższą furją*). On wyrwał z gęby chleb faktorom, on wiele godne osoby, pobożne kupcy, rujnuje! (*Wrzawa oburzenia*). On jest gałgan, rozbójnik...

PROSZOWSKI (zrywa się i przyskakuje do stołu).

Milcz, nikczemny szachraju!

(*W zgromadzeniu zgiełk, wrzawa*).

FRUCHTBAUM.

Aj, aj, jaki jasny pan, jaki generał!

RABIN (siedząc, robi ręką ruch rozkazujący, mówiąc podniesionym głosem)

Uciszcie się! (*Wrzawa słabnie, milknie* —

*rabin zwraca się do Proszowskiego, który stoi do końca sceny—rabin mówi spokojnie.* Słuszny gniew przez nich mówi, a taki gniew szumi i kipi, jak fale Jordanu w dzień burzliwy.

PROSZOWSKI.

Czem zasłużyłem na ten słuszny gniew moich współwyznawców? Niechże się raz dowiem, bo tylko po to tu przyszedłem.

RABIN (z naciskiem).

Przybyłeś po sprawiedliwość, panie Proszowski.

PROSZOWSKI.

Aby spojrzeć w twarz waszą, przybyłem. Odsłońcie się, bo wiedzieć chcę, przed kim stoję.

RABIN (patrzy na niego z nienawiścią).

Mówi przez ciebie w tej chwili, panie Proszowski, duch Abrahama, jego ojca i dziada.

PROSZOWSKI.

Jakaż wina moja? Złości takich (*wskazuje na Fruchtbauma*) nie nazwiesz chyba oskarżeniem, panie rabinie?

RABIN.

Zaraz ci powiem, panie Proszowski, dla-



czego cię Izrael zawezwał przed sprawiedliwość kachału.

PROSZOWSKI.

Czekam, panie rabinie.

RABIN (pauza—potem z namaszczeniem).

I rzekł Pan do Mojżesza: Wyście widzieli, com uczynił Egipcyanom i jakom was nosił, niby na skrzydłach orłowych i przywiodłem was do siebie. Przetoż teraz, jeśli słuchając, posłuszni będziecie głosowi mojemu i strzedz przymierza mego, będziecie mi własnością nad wszystkie ludy, będziecie mi królestwem kapłańskim i narodem świętym. (*Szmer podziwu w zgromadzeniu, pauza — potem*). I rzekł jeszcze Pan: Niechaj ci służą ludzie i niech ci się kłaniają narodowie. Którzyby cię przeklinali, (*podniesionym głosem*) niech będą przeklętymi, a którzyby cię błogosławili, niech będą błogosławieni! (*Szmer zadowolenia w zgromadzeniu — rabin mówi podniesionym głosem*). A ty, panie Proszowski, obroniłeś goja przeciw swoim, ty skrzywdziłeś dzieci Izraela! (*Szmer oburzenia*).

PROSZOWSKI.

Lud Izraela nie zawsze słuchał głosu Pana i strzegł jego przymierza, przeto nie

zawsze służyli mu ludzie i kłaniali się narodowie. Skarżył się już Jeremiasz, że synowie izraelscy i judzcy od dzieciństwa tylko to czynią, co jest złego przed oczyma Jehowy i drażnią Pana sprawami rąk swoich. (*Zgromadzenie dziwi się — rabin śledzi zdziwiony za słowami Proszowskiego*). Co jest złego przed oczami Jehowy, czyni każdy człowiek, który krzywdzi słabszego, wyzyskuje powalonego, oszukuje nieświadomego. Krongold, Fruchtbaum i pomocnicy ich chcieli zgubić nieszczęśliwego, przeto stanąłem w jego obronie. Jest-że to występkiem? (*Wołanie: „To goj, to goj!”*)

RABIN (robi ręką ruch uśmierzający, wrzawa milknie).

Chciałeś się dowiedzieć, panie Proszowski, o co cię Izrael oskarża. Wołania ich odpowiedziały ci dostatecznie. Naród Izraela oskarża cię, synu Abrahama Proszowskiego, o występłą przyjaźń dla gojów, bo stoi napisano: nie godzi się, aby żyd witał innowiercę. Uczy Mojżesz Bar Majmonides: pięćdziesiątem przykazaniem jest, abyśmy nie litowali się nad gojami.

PROSZOWSKI.

Ty wiesz, rabinie, że stoi także napisano: kto podnosi rękę na bliźniego, chociaż-

by go nie uderzył, zowie się nikczemnikiem!

RABIN (podnosi się; — gwałtownie).

Tylko żyd jest bliźnim! (*Pauza—siada—mówi dalej spokojnie*). Wiele świata widziałeś, panie Proszowski, wiele ludzi i ksiąg, jak słyszę, a udajesz, że nie wiesz, dlaczego uczeni Izraela tak, a nie inaczej, nau czali? Przetrwalżeby naród królewski aż do dnia dzisiejszego, gdyby wierzył, że innowierca jest jego bliźnim? Ty nie pragniesz zwycięstwa Izraela, panie Proszowski.

PROSZOWSKI.

Pragnę, aby innowiercy szanowali lud, z którego idę.

RABIN.

Obelga gojów nie obraża narodu wybranego.

PROSZOWSKI.

Goj, zawsze goj, a nigdy człowiek! (*Zwraca się do tłumu*). Jeśli jest między wami, kogo ci goje krzywdzili, ciągle i rozmyślnie, na czyje mienie godzili, myśląc dniem i nocą nad tem, gdzieby najskuteczniej uderzyć, jeśli są między wami ofiary chciwości innowierców, niech się odezwą, a prze-

konają mnie, że źle czynię, nie łącząc się do wspólnej walki przeciw wrogom. (*Pauza—głęboka cisza*). Milczycie? (*Pauza*). Nie ma pomiędzy wami nikogo, ktoby mógł powiedzieć, że go lichwa, podstęp, lub krzywoprzysięstwo chrześcianina pozbawiły dachu nad głową, chleba dla dzieci? (*Pauza*). Nikogo? (*Pauza—żydzi spoglądają na siebie, pokazują na czoła*). A tam, wśród owych, nienawistnych dla was, wyznawców krzyża, płaczą tysiące, krocie, na złość, na wyzysk Izraela! (*Wyciąga do nich ramiona z prośbą*). Dzieci ludu, którego krew gorąca w żyłach moich płynie, posłuchajcie głosu żyda, bo mówi do was żyd, słyszycie, żyd, taki sam, jak wy!

FRUCHTBAUM (do tłumy).

On nie żyd, on zły człowiek.

CUKERWASSER.

On goj!

(*W tłumie wrzawa: „To goj! Goj!”*)

PROSZOWSKI (woła przez wrzawę).

Posłuchaj mnie, Izraelu! (*Wrzawa się wzmacza, pokrywa jego głos — po chwili cichnie*). Czy niema między wami nikogo, ktoby stanął przy boku moim, abyśmy szli razem przeciw zaciekłości ciemnych? (*Pauza—*

*młczenie — potem do Rabina*). Widziałem skutki waszych nauk!

RABIN.

Lud Izraela żąda od ciebie, panie Proszowski (*na progu staje Sara*), abyś nie wytrącał chleba z rąk jego ubogich i pobożnych, abyś się nie wciskał między nich i gojów, których im Adonai oddał w posiadanie. Ubodzy wołają przeciw tobie o pomoc do Jehowy!

(*Sara występuje, za nią wchodzi Ryfka Kornfeld i dwóch ubogich żydów*).

## SCENA VII.

POPZREDNI i SARA.

SARA.

To fałsz, to kłamstwo nikczemne!  
(*Wrażenie w zgromadzeniu — szmer*).

PROSZOWSKI (głosem stłumionym).

Saro, jak mogłaś...

SARA.

Niewiasta za mężem idzie. (*Zwraca się do sędziów*). Więc ty, sędzie żydowski, oskar-



żasz pana Proszowskiego o krzywdy, wy-  
rządzone ubogim i potrzebującym?

*(Z komory wychyla się Amelia).*

RABIN.

Weźcie z przed oczu moich tę szaloną  
dziewczynę. Nie rzeczę niewiasty ukazywać  
się, gdzie radzą mężowie!

*(Żydzi zbliżają się).*

PROSZOWSKI.

Odstąpciel komu cały czerep miły!

*(Zastania sobą Sarę; żydzi spoglądają na  
rabina).*

SARA.

Sąd kahału nie zamyka drzwi przed ni-  
kim. Tak mi powiedziano.

PROSZOWSKI.

Wyjdz ztąd, nie miejsce tu dla ciebie.  
Sam się z nimi rozmówię.

SARA.

Gdzie tobie grozi niebezpieczeństwo, tam  
zawsze miejsce moje.

RABIN.

Czego żądasz od nas, niewiasto?

SARA.

Sprawiedliwość! Mówicie, że pan Proszowski krzywdzi ubogich i potrzebujących. Zbliź się, kobieto, zbliźcie się i wy, starcy poważni. (*Dwaj starzy żydzi i Ryfka zbliżają się, stoją tuż przy Sarze i Proszowskim*). Świadczyć za waszym dobrodziejem. (*Starcy i żydówka wahają się, spoglądając na rabina pytająco*). Pozwól, niech mówią, rabinie. Im potrzeba jeszcze twojego przyzwolenia.

PROSZOWSKI.

Odejdźcie!

RABIN.

Mówcie, co was tu przywiodło?

1-szy STARZEC.

Jeśli uczony rabi pozwoli, to ja powiem. (*Ogląda się na rabina i po zgromadzeniu z obawą*).

RABIN.

Mów, starcze, słucham.

1-szy STARZEC.

To ja powiem, co pan Proszowski jest bardzo szlachetna osoba, co on mojemu Ickowi kupił taki fajny interes, aj, jaki fajny!

My byli tacy biedni, a my mamy teraz rybkę na szabas i atłasowy chałat i wszystko.

RABIN (do Arona).

A ty co powiesz, Aron?

2-gi STARZEC.

Wielki rabi! Un mi zrobił więcej, un mnie, chorego, kiedy ja leżał, jak pies, na ulice i bachory się śmiały, un mnie wziął na ręce--tak mnie wziął (*pokazuje jak*) i un mnie zaniósł do chaty. Potem przyszedł doktor, ten wielki doktor z rynku, i tak przy, mnie sobie siedział, jak przy jaśnie panu, lekarstwa przepisał i nic nie wziął za to tak mu kazał pan Proszowski.

RYFKA.

Jaki un dobry pan, jaki miłosierny, wielki rabi...

PROSZOWSKI (do Sary).

Dlaczegoś mi to uczyniła?

SARA.

Wy mówicie, że pan Proszowski krzywdzi ubogich i potrzebujących? Przejdźcie całe miasto, zapytajcie wszystkich nędznych i wydziedziczonych, a każdy wam powie, że ten, którego sądzić się ośmielacie,

nie odtrącił nikogo od hojnych progów swoich, że ten, przeciwko któremu wzywacie o pomstę Jehowy, miał już czas otrzeć łez wiele, chociaż niedawno między wami przebywa. A teraz sądźcie go, jeśli zdobędziecie się na tyle zuchwalstwa!

RABIN (podnosi się i zwraca się do świadków).

Czy wiecie, kto jest ten, o którym dobrze mówicie?

1-szy STARZEC.

To pan Proszowski, syn Abrahama.

RABIN.

Ten syn Abrahama Proszowskiego jest gorszy od gojów, bo on trzyma z nimi spółkę na zgubę Izraela! (*Wrzawa w zgromadzeniu*). Ten pan Proszowski nie szanuje świętych praw zakonu! (*Wrzawa rośnie — ubodzy odsuwają się cokolwiek, spoglądając z przestraczem na Proszowskiego*). Ten wasz dobrodziej ma duszę chrześciana, choć mówi, że jest żydem! (*Żydzi wołają: „On goj, goj!” — Rabin do ubogich*). Odstąpcie! (*Ubodzy odsuwają się na stronę — Proszowski i Sara zostają sami*).

WSZYSCY (szepczą ze zgrozą).

On z gojami trzyma... Goj!...

SARA (do ubogich).

Nieszczęśliwi w ciemności swojej! (*Do rabina*). Już nam sądu waszego nie potrzeba. Oni (*wskazuje na ubogich*) odstonili waszą sprawiedliwość. Zuchwali! Wy ośmielacie się wzywać przed trybunały swoje człowieka, który, przyznając się do wzgardzonego przez cały świat plemienia, czyni z siebie taką ofiarę, żeby ją tylko miłość milionów mogła zrównoważyć!

RABIN.

Kończ, nie miejsce tu na rozprawy. Przed sądem stoisz!

SARA.

Sądem nie jest zebranie oszustów, lichwiarzy i koniokradów.

CUKERWASSER.

Poczekaj!

FRUCHTBAUM.

Wyrzucie ją!

(*Żydzi zbliżają się — Proszowski zastawia ją sobą*).

RABIN.

Duch nieczysty wstąpił w tę niewiastę. Ucziszcie się! Niech ta waryatka wypowie



wszystko, abyśmy wiedzieli, co z nią uczynić.

SARA (przerywa).

Ja sądu waszego nie uznaję, ja wami gardzę, podłe kruki (*wrzawa*) krążące w dzień i w nocy, na jawie i we śnie, nad ofiarami wszelakiej niedoli, aby na nie spaść i pożreć.

(*Na progu komórki staje Amelia*).

RABIN.

Już wiemy, kto jesteś! (*Podnosi się*). A teraz, panie Proszowski, wysłuchaj wyroku twojego ludu, który mówi przez usta moje.

PROSZOWSKI (podchodzi do stołu).

Oszczędź sobie trudu, panie Rabinie, bo słowa twoje przeminęłyby, jak przemija krzyk niemocnej złości! (*Rabin robi ruch broniący*). Nie przerywaj! Słuchałem ja, słuchajcie i wy! (*Pauza — potem*). Na skrzydłach tęsknoty wracałem z po za gór i mórz, rzucając kraje bogate i życie świetlane. Tak spieszy wygnaniec, któremu pamięć lat dziecinnych płoszy sen z powiek wśród obcych! (*Pauza*). Krew przodków moich, krew wasza, pchała mnie siłą nieprzeciętną do was, do waszej nędzy i waszego osamotnienia. Płakało we mnie dniem

i nocą serce ojca, dziada i pradziada, to serce, które biło dla cierpień ubogich. (*Pauza*). Wierzyłem, że zastanę lud nieszczęśliwy, sponiewierany, ale wielki i czysty w bezmiernym bólu swoim. I dziś, do was spiesząc, marzyłem, że wśród tego tłumu (*wskazuje na zebranych*) błysnie choć jedno oblicze szlachetne, że słowa moje powieją nad wami, jak tchnienie ożywcze. Żle wierzyłem. Zamiast narodu, który dźwiga z godnością brzemię niedoli, (*z siłą*) stado drapieżnych zwierząt widzę, tłuszcę chciwych, bezlitosnych potworów, zgrają szachrajów i oszustów! (*Głuchy szmer—pauza*). Wyście nie dzieci umiłowane Jehowy, nie naród królewski starego zakonu, nie potomkami jesteście proroków i Machabeuszów! Was odepchnął za grzechy niezmierne od oblicza swego karzący Adonai i cisnął między ludy inne, aby się was obawiały, jak się szkodliwych obawia zwierząt!

RABIN (który słuchał z razu osłupiały).

Milcz! Bo klątwa moja zdruzgocze język nikczemny! (*Do żydów*). Wypędzić go ztąd!  
(*Żydzi się tłoczą—wrzawa*).

PROSZOWSKI (zastawia się laską po wojskowemu).

Niech was pozór tej zabawki nie łudzi. To broń, to stal hartowna! Ona zabija! (*Ży-*

*dzi cofają się z przerażeniem*). Mówicie, że nie szanuję świętych praw zakonu? Rabinie! Jakież prawa zesłał Adonai ludowi swojemu na górze Sinai, wśród grzmotów i piorunów? Co wam nakazał przez usta wielkiego Mojżesza? (*Chwyta Torę ze stołu, leżącą przed rabinem*). Czego was uczy ta księga? Nie kradnij!—woła piąte przykazanie, nie krzywdź bliźniego, nie oszukuj, szanuj własność nie swoją! Gdzież jest ten między wami, kto szanuje te święte przykazania? Ta księga kłamie w rękach waszych, jak kłamią usta wasze, serca wasze, każda myśl wasza, przeto przestała być tarczą obronną Izraela, złotym mostem, który Adonai zbudował między ludem wybranym a sobą! Ta księga kłamie, jak wy, (*oduraca się do żydów*) jak ty, rabinie. (*Rzuca księgę na ziemię — powstaje powszechna wrzawa—rabin trzęsie się, stojąc, słania się — żydzi zbliżają się do Proszowskiego, chwytają go za suknie, zrzucają z głowy jego kapelusz. — Proszowski wydobywa rewolwer — robi się szpaler do drzwi — Proszowski obejmuje lewem ramieniem Sarę i wybiega. Na progu się zwraca*). Kłamstwem i podłością jest życie wasze, przeto wędrować będziecie, wędrować od miasta do miasta, od kraju do kraju, wszędzie wzgardzeni i oplwani, dopóki Adonai nie odmieni serc wa-

szych, ulitowawszy się nad ludem, który niegdyś miłował. (*Wybiega — za nim żydzi z głośnym krzykiem — z komórki wybiega Amelia, biegnie za tłumem, wołając: „Ona ucieka z nim! Trzymajcie ją!” — Po chwili słysząc za sceną głos Proszowskiego: „Do Lachowa!” i turkot oddalającego się powozu. — Na scenie zostaje rabin, Fruchtbaum i sędziowie).*

### SCENA VIII.

(*Żydzi krzątają się przez czas pewien koło rabina, który się po kilku chwilach prostuje i podnosi z krzesła).*

RABIN.

Odwieczny wróg Izraela przysłał wier-  
nym tego odszczepieńca, aby spokój naszej  
gminy zakłócił. Fruchtbaum i wy, miejcie  
uszy i oczy otwarte, aby ja wiedział w ka-  
żdej chwili, co on czyni.

FRUCHTBAUM.

Niech wielki rabi wróci spokojnie do  
uczone księgi i do święte modlitwy. Frucht-  
baum ma już oczy i uszy otwarte.

RABIN.

Nie zapominaj o tej szalonej dziewczy-  
nie, ona gorsza od niego.

FRUCHTBAUM.

Ona dowie się, co to jest mówić takie rzeczy w kahale.

RABIN.

Szolem alejkim! (*Żydzi odpowiadają: „Szolem alejkim!” — Rabin wychodzi, żydzi chcą go podtrzymać, on nie pozwala, prostuje się i wychodzi dumnym krokiem.*)

FRUCHTBAUM (chwytając Cukerwassera za ramię i zatrzymuje go, mówiąc)

Aron, ty tu zostań!

## SCENA IX.

FRUCHTBAUM, CUKERWASSER.

FRUCHTBAUM (prowadzi Cukerwassera na przód sceny).

Aron, czy ty dobrze oglądał jego składy zbożowe?

CUKERWASSER.

Za co ja nie miał oglądać jego składy? Aj, aj, jakie składy!

FRUCHTBAUM.

W tych składach zmieściły się zarobki wszystkich żydków z miasta.



CUKERWASSER.

Żeby un przepadł! (*Pluje*).

FRUCHTBAUM.

Na co un ma przepaść? Niech lepiej te składy przepadną.

CUKERWASSER.

Nu?

FRUCHTBAUM.

Nu? Czy ty nie wiesz, jak się robi, żeby takie składy przepadły? Czy to tobie nowina?

CUKERWASSER.

Co nie mam wiedzieć.

FRUCHTBAUM.

On ich jeszcze nie miał czasu zaasekurować. Aron, te składy, to jego moc...

CUKERWASSER.

On nie będzie miał tej mocy.

FRUCHTBAUM.

Ale ty się spiesz, Aron!

CUKERWASSER.

On się będzie jutro dziwował. Gałgan!  
(*Grozi pięścią w stronę drzwi*).

(ZASŁONA ZAPADA).

## AKT CZWARTY.

(Park w Lachowie, stare drzewa lipowe; z prawej strony widać fasadę zamku, po lewej stronie, między drzewami, stary krzyż na kamiennej podstawie (Boża Męka); pod lipami ławki i stół; w głębi widać żelazne sztachety i bramę. Pogodny wieczór sierpniowy; na niebie gwiazdy).

### SCENA I.

LACHOWSKI, LACHOWSKA.

*(W chwili, gdy się zasłona podnosi, klęczy Lachowska pod krzyżem, pogrążona w modlitwie, za nią stoi Lachowski z odkrytą głową).*

LACHOWSKA (po chwili).

Wysłuchałeś płaczu służebnicy swojej, Panie, odwróciłeś od dzieci cios straszliwy, który miał ich pozbawić na zawsze... na zawsze... ochrony tych świętych murów, co były kołyską i trumną ich przodków. Tobie cześć i chwała, Boże miłosierdzia, Tobie

wieczne królowanie, serdeczny opiekunie słabych i zdeptanych! (*Nachyla się, całuje stopy krzyża, potem podnosi się z pomocą Lachowskiego. Dźwignąwszy się mówi, zwracając się do męża*). Więc prawda, Stanisławie, więc prawda, że ztąd, z tego domu, z tego świadka szczęścia, popłyną przed tron Boga ostatnie westchnienia nasze, że nam już nikt nie przeszkodzi umrzeć, gdzie się do snu ostatniego twój układali dziadowie? Tak słabo płonąła nadzieja w sercu strapionem.

LACHOWSKI.

Opiekun sponiewieranych wysłuchał prośby twojej, Ludmiło, i zesłał nam obrońcę w postaci prawego człowieka. Już nas ztąd nie wyprze złość nikczemnych i próżnych. Skonamy, gdzie dogorywali wszyscy mego rodu.

LACHOWSKA.

Ale gdzież on, ten wysłaniec Opatrzności? Mówiłeś, że miał do nas dziś przybyć. Wszakżeż znałam go dziecięcim, pieściłam chłopczykiem. Dlaczego zwleka? Tak pragnę uścisnąć dłoń syna zacnego Abrahama.

(*Siadają na ławce*).

LACHOWSKI.

I ja czekam na niego z niepokojem. Obie-

cał przybyć dziś, a wiem, że umie być słownym. Ogarnia mnie coraz większy niepokój. Trzebaby posłać kogo do miasta, aby zasięgnął języka, lub najlepiej jechać samemu. (*Podnosi się — podchodzi do kulisów i woła za scenę*) Ambroży! (*W tej chwili słysząc turkot powozu*). Ktoś zajężdża; turkot to rozpędzonych, cwałujących koni! (*Woła za scenę*) Ambroży! (*Wchodzi służący*).

## SŁUŻĄCY.

Jakieś państwo zajechało przed zamek, jaśnie panie.

(*Na scenę wbiega Proszowski, bez kapelusza na głowie, prowadząc za rękę Sarę—w prawym ręku trzyma rewolwer*).

## SCENA II.

LACHOWSKI, LACHOWSKA, PROSZOWSKI,  
SARA, SŁUŻĄCY.

LACHOWSKI (*podbiega do Proszowskiego*).

Wieje od ciebie nieszczęście; mów, co cię spotkało?

PROSZOWSKI (*z goryczą*).

Cóżby mnie miało spotkać (*potrząsa rewolwerem*) dopóki ten druh przy mnie. Zna-

my się z sobą bardzo dobrze, nie od dziś. Wezwali mnie na sądy — współwyznawcy moi... (*Chowa rewolwer do kieszeni*).

LACHOWSKI.

I stawileś się... Nierozważny!

PROSZOWSKI.

Chciałem im się zbliżka przypatrzeć...

LACHOWSKI.

I widziałeś ich oczywiście?

PROSZOWSKI (z boleścią).

Widziałem ich, o! widziałem serc ich najskrytsze tajniki. (*Podchodzi do Lachowskiej, puszcza rękę Sary*). Pani, dzieckiem całowałaś mi oczy, włosy, czoło, pamiętam... Czy pozwolisz, aby kolana twoje uściśnęła ta, która dzieli od dnia dzisiejszego losy szaleńca? Oto moja narzeczona, a ona nie ma już matki, coby stała przy jej boku w chwili stanowczej i ciężkiej. Czy pozwolisz, pani? (*Chwyta ręce Lachowskiej i całuje je gorąco — Lachowska obejmuje go za głowę i całuje*).

LACHOWSKA.

Małego Henryczka pieściłam, za dużego będę się modliła, aby mu Bóg dał dni jasne, szczęśliwe. (*Zwraca się do Sary i otwie-*



*ra ramiona*). Nie wiem, kto jesteś, ale musisz być szlachetną, kiedy on cię umiłował.

SARA.

O, panie! (*Kłęka przed Lachowską, która ją obejmuje za głowę i całuje*).

LACHOWSKI.

Zbyszczęścili cię...

PROSZOWSKI (*z goryczą*).

Dowiedli mi, że jestem zdrajcą przed obliczem Izraela, że krzywdzę ubogich, okradam potrzebujących!

LACHOWSKI.

Ślepi i podli!

PROSZOWSKI.

Przekonali mnie, że niema nademnie większego zbrodniarza, że jestem najnikczemniejszy z nikczemnych. Sądzi mi lichwiarze, koniokrady, złodzieje, oszuści. Ha! ha! ha!

LACHOWSKI.

Nie dopuściłeś do wyroku...

PROSZOWSKI.

Rzuciłem pod ich nogi Torę, która kłamie, jak oni, a w twarz cisnąłem im garść słów tak okrutnych, że mi ich do śmierci

nie zapomną. Znam ich teraz, znam, znam...  
oni nie zapominają.

LACHOWSKI (powtarza zcicha).

Oni nie zapominają.

*(Kilka chwil milczenia).*

PROSZOWSKI (do Lachowskiej).

Nie wiesz zapewne, zacna pani, że tulisz  
do serca siostrzenicę tego Krongolda...

*(Lachowscy przez chwilę zdumieni).*

LACHOWSKA.

Kimkolwiekby była, panie Henryku, z chwili-  
łą, gdy twoje serce ją wybrało, znalazła  
we mnie przyjaciółkę.

SARA.

O, panil...

PROSZOWSKI.

Dobra, serdeczna pani! Tak, ona jest cór-  
ką siostry tego handlarza, ale w jej żyłach  
płynie krew ojca, a ten żyd należał do  
owych dusz świetlanych, które Bóg posyła  
od czasu do czasu na ziemię, aby świad-  
czyły, że prawdę mówił, kto nazwał czło-  
wieka Jego obrazem i podobieństwem. Pan  
świata nie pyta wówczas, gdzie taka dusza  
pada, na śmietnisko, alboli na kwiaty.

W bujnym kwiecie drzemie często podły gad, a z pod gruzów i zapomnianych ruin wytryska źródło czyste, ożywcze. Ona jest tem źródłem, które będzie mnie orzeźwiało w chwilach omdlenia. Bo, zaprawdę, nawet wcielona odwaga stanęłaby nieraz bezradna wobec samolubstwa ludzkiego.

LACHOWSKI (zbliża się do Sary, kładzie rękę na jej głowie).

Czyste musi być serce, które zawiera dla niego zdroje ożywcze.

PROSZOWSKI.

Stała na sądzie przy boku moim i oto została sierotą, bez ojca i matki, bez dachu nad młodą, a już tyle stroskaną głową, bez domu i narodu... Do nich wrócić nie może... oni nie przebaczą... (*Pauza — potem do Lachowskiej z prośbą*). Pani! Ty bądź jej matką, dopóki jej ramię moje, ramię małżonka, nie będzie mogło zastawić!

LACHOWSKA (do służącego).

Przygotować dla panienki pokoje.

SŁUŻĄCY.

Słucham, jaśnie pani. (*Chce wychodzić*).

PROSZOWSKI.

Dziękuję...

LACHOWSKI (zwracając się do służącego).

Każesz zamknąć bramę na rygle i postawisz przy furtce ratajów. Niech nikt nie wejdzie bez wiedzy mojej na dziedziniec. W razie, gdyby się kto chciał siłą wdzierać, odeprzeć przemocą. Strzelec niech ma w pogotowiu broń nabitą.

SŁUŻĄCY.

Słucham, jaśnie panie. (*Wychodzi*).

LACHOWSKI.

Z żydami niema u nas żartów. To tala-tajstwo tak się rozzuchwaliło, że mogłoby wpaść gromadą na zamek, aby was jeszcze sponiewierać. Niechby jeno przyszli. (*Grozi pięścią w stronę bramy, potem zwraca się do Sary*). A ty, panno... (*Spogląda z zapytaniem na Proszowskiego*).

PROSZOWSKI.

Piękne imię Sary zawdzięcza woli ojca.

LACHOWSKI.

A ty, panno Saro, nie smuć się, bo zostajesz od tej chwili pod naszą opieką, pod osłoną dachu, który widział i przetrwał wiele burz i dla nas jeszcze wystarczy. Wyjdiesz ztąd tylko na ślubny kobierzec.

SARA (podnosi się).

Chciałabym dziękować głośno, tysiącem słów najgorętszych, ale mowa nie wyraziłaby uczuć, które przepelniają w tej chwili serce udręczone. Tyle się trwożyłam wczoraj i dziś... Kobieta jestem...

LACHOWSKI.

Nie dziękuj, dziecino droga. Służyłem niegdyś ojcu Henryka, oddał mi teraz on, a ty przygarniesz może kiedyś dzieci moich dzieci. Wszystko płaci się na tym świecie, rychlej, czy później.

LACHOWSKA.

Spocznij przy mnie, panno Saro, ot, tak. (*Sara siada obok Lachowskiej*). Potrzeba ci wytchnienia. (*Zdejmuje jej kapelusz*). Niepokoiło się biedactwo kochane, rozumiem.

SARA.

Tak się o niego lękałam... On taki odważny.

LACHOWSKI (do Proszowskiego).

A ty, mój chłopcze, nie masz znów bardzo powodu do bezmiernego smutku, który ci serce rozrywa. Cóż ciebie może obchodzić obelga takich brudnych zwierząt?



PROSZOWSKI.

Obraz spodlenia ludu, do którego należę, strzaskał moją dumę. A ja ich tak kochałem!

LACHOWSKI.

Rozchmurz czoło i bądź nam upragnionym gościem. Lachowscy zeszli na chudopachołków, ale zostało jeszcze kilka butelek, co to, mocium panie, Sasów pamiętają. Palniemy sobie dziś jedną, ot, tu, pod tą lipą, a wróci ci myśl swobodna. Żona każe przygotować dla nas tymczasem wieczerzę.

LACHOWSKA (do Sary).

Zaraz wrócę. (*Wychodzi*).

PROSZOWSKI.

Będę służył jutro, pojutrze, któregokolwiek dnia, ale dziś odmówić muszę.

LACHOWSKI.

Dlaczego? Jeszcze nie późno. Zresztą nie puszczę cię dziś do miasta.

PROSZOWSKI.

Chciałem tylko widzieć Sarę pod osłoną bezpieczną, a dokonawszy, po co przybyłem, wracam natychmiast.

LACHOWSKI

Masz przecież w domu urzędników, służbę.

PROSZOWSKI.

Nie wolno mi opuścić posterunku, na którym się sam postawiłem. Trzeba czuwać, bo mogliby nieobecność moją wyzyskać.

LACHOWSKI.

Szalony! Chciałżebyś się jeszcze dalej na nienawiść tej dziczy narażać?

PROSZOWSKI.

Dzieło dopiero zaczęte. Należy je skończyć, albo runąć.

LACHOWSKI.

A mówiłeś, że duma twoja strzaskana. Niebaczny! Wartoż to trwonić młodość w takiej walce daremnej? Proś go ty, panno Saro, on ciebie powinien usłuchać, on teraz do ciebie należy.

SARA (podchodzi do Proszowskiego).

Henryku! Po raz wtóry już układa się słońce do snu, od chwili, kiedy nas najśłodsze złączyło wyznanie, a nie miałam dotąd czasu powiedzieć ci, ile cię serce moje pragnęło, jak za tobą tęskniło. Patrz! Bóg rozpiął nad nami cudowny namiot błę-

kitów niebieskich, milionem gwiazd dzierzgany, kazał uciszyć się drzewom i przyrodzie wszelkiej, rozwiązał w około uroczą woń, do spoczynku wzywając i marzenia. I Pan panów męczy się widokiem drobnych zabiegów i bezmiernych podłości ludzkich i jego oko chciałoby radować się obrazem szczęścia... miłości... Henrykul Tyle przeboleliśmy razem od wczoraj, tyle przesmuciliśmy się. Niech wieczór dzisiejszy należy do mnie... do nas...

PROSZOWSKI.

Twojem będzie całe życie moje, długie lata wspólnych trudów i wspólnego wesela. Już cię nie opuszczę aż do śmierci, tylko dziś jeszcze pozwól mi być na stanowisku i uszanuj wolę tego, który myśleć będzie za ciebie aż do ostatniego tchnienia.

SARA.

Tak bardzo proszę...

PROSZOWSKI.

Ukochana żona nie powinna nigdy męża o tchórzostwo prosić.

SARA.

Jesteś tak okrutny w wspaniałości swojej.  
(*Słychać turkot powozu*).

PROSZOWSKI.

Sarol! Niewiasty ludu naszego nie tak przemawiały do mężów.

SARA.

Niech się wola twoja stanie.  
(*Wchodzi służący*).

LACHOWSKI.

Czego tam, Ambroży?

SŁUŻĄCY.

Przyjechał z miasta ten gruby kupiec z jakąś panienką i chce się widzieć z jaśnie panem.

LACHOWSKI.

Jaki kupiec?

SŁUŻĄCY.

Ten, co to mieszka w rynku, jaśnie panie.

LACHOWSKI.

Krongold?

SŁUŻĄCY.

Zdaje mi się, że się tak nazywa.

LACHOWSKI.

Czegoż on może chcieć odemnie?

SARA.

Przybyli niezawodnie po mnie. O proszę, niech nie wracam pod ich dach nieczysty.

LACHOWSKI.

Należysz od dziś do rodziny naszej, pan-no Saro. Nie obawiaj się. (*Do służącego*). Niech tu przyjdzie.

(*Służący wychodzi*).

## SCENA III.

LACHOWSKI, PROSZOWSKI, SARA, KRONGOLD,  
AMELIA.

(*Krongold i Amelia wysuwają się ku środkowi sceny — Lachowski zastępuje im drogę i powstrzymuje ich sobą*).

LACHOWSKI

Co pana do mnie sprowadza, panie Krongold?

KRONGOLD.

Przepraszam pana dobrodzieja, że zrobiliśmy sobie z moją córką... (*prezentuje z pychą Amelię*) moja córka Amelia... (*Lachowski schyla lekko głowę*) taki najazd na Lachowo, ale...



LACHOWSKI.

Czem panu mogę służyć, panie Krongold?  
(*Krongold zaambarasowany spogląda na Ame-  
lię*).

AMELIA.

Papa chciał podziękować panu dobrodzie-  
jowi za łaskawą opiekę nad naszą kuzynką.

KRONGOLD.

Chciałem podziękować, że pan dobro-  
dziej...

LACHOWSKI.

Nie widzę, za co mi pan Krongold chce  
dziękować, bo nie z jego rąk odebrałem  
pannę Sarę.

KRONGOLD.

Pan dobrodziej był tyle łaskaw...

AMELIA.

Przybyliśmy, aby przeprosić pana za nie-  
pokój, jaki ten niemiły wypadek musiał wy-  
wołać w domu państwa. (*Do Sary*). Herba-  
ta czeka nas w domu, kuzynko... (*Chce się  
zbliżyć do Sary — Lachowski zastępuje jej  
drogę*).

KRONGOLD (do Sary).

Spiesz się, podziękuj państwu za opiekę i wracaj z nami.

SARA (występuje naprzód).

Dziękuję wujowi serdecznie za wszystko dobre, co mnie w jego domu spotkało, ale proszę nie czekać na mnie, bo do was już nie wrócę.

KRONGOLD (hamując gniew).

Dlaczego? Czy ja ciebie nie przyjął, jak córkę mojej siostry? Czy ja tobie czego odmówił?

SARA.

Od wczoraj już sobą nie rozporządzam, wuju.

KRONGOLD.

Na co tu długo gadać? Ty, Saro, wróć zaraz z nami do domu, ty nie powinnaś robić takie grymasy. Ja ciebie przyjął, jak dobre dziecko, a ty mi robisz skandale. Ja na to nie mogę pozwolić. No, chodź. Mam dosyć te fantazy.

LACHOWSKI.

Panna Sara znajduje się obecnie pod naszą opieką. Czy to panu nie wystarcza, panie Krongold?

AMELIA.

Pan zrozumie, że nie możemy na to pozwolić, aby się nasza kuzynka udawała pod opiekę obcych.

KRONGOLD.

Ja jej wuj i dlatego nie chcę, aby ona głupstwa robiła. Za mną jest prawo, sąd, ja opiekun.

AMELIA.

Ona musi wrócić pod dach opiekuna.

LACHOWSKI.

Prawem i sądem nie groź w moim domu, panie Krongold, bo mogłaby się zerwać cierpliwość człowieka, którego nie od dziś krzywdzisz. Czy rozumiałeś, panie Krongold?

*(Krongold cofa się przerażony).*

SARA.

Nie chciałam bratu matki mojej robić przykrości, ale skoro mnie do tego zmuszasz, wuju, dowiedz się, że znam także prawo. Przekroczyłam już rok, który bywa kresem małoletności. A gdyby i nie to, nie wróciłabym i tak do wuja *(przystępuje do Proszowskiego)* bo oto mój jedyny pan i władca, mój najprawowitszy opiekun.

AMELIA.

Od jakiego to czasu opiekują się kawalerowie pannami?

PROSZOWSKI.

Od czasu, kiedy miłość poczęła łączyć ludzi.

AMELIA.

Jak widzę, skorzystała kuzyneczka w Paryżu więcej, aniżeli myślałam. Nie istnieją dla niej nawet pozory przyzwoitości.

SARA.

Amelio!

PROSZOWSKI.

Jestem narzeczoną panny Sary, pani.

AMELIA.

Szczególnego to rodzaju narzeczeństwo, o którym nikt nie wie. Miłością niedozwoloną nazywają u nas takie stosunki.

SARA.

Amelio! (*Po chwili z pogardą*). Zbyt to niski zarzut, aby mnie mógł dotknąć.

AMELIA.

Tak bronią się wszystkie awanturnice.

SARA.

Podłaj

PROSZOWSKI.

Czy pragniesz pani koniecznie, abym zapomniał, że jesteś kobietą?

LACHOWSKI.

Dość tego! Gości swoich Lachowscy nie pozwalali nigdy krzywdzić. Proszę! (*Wskazuje na drzwi*).

AMELIA.

Żmija! Nędzną żebraczkę przygarnęliśmy do łona, a ona za to kąsa.

LACHOWSKI (groźnie).

Proszę!

SARA (robi ruch, jakby się chciała rzucić na Amelię).

Przebaczam ci, bo zawiedzione nadzieje syczą z nieszlachetnych słów twoich.

AMELIA.

Bohaterka! Ha! ha! ha!

KRONGOLD.

Kiedy chce zginać, niech przepadnie razem z nim. (*Wskazuje na Proszowskiego*). Niedługo będzie wojował. Chodź.



AMELIA (do Sary).

Tryumfujesz, bo zdaje ci się, że zwyciężyłaś. Nie tryumfuj! Zemsta moja dosięgnie cię tak szybko, że nie starczy ci nawet czasu do pieszczot miłosnych! (*Wychodzi za ojcem*).

#### SCENA IV.

LACHOWSKI, PROSZOWSKI, SARA, potem  
LACHOWSKA, AMBROŻY.

SARA.

Obym cię już więcej nie spotkała! (*Zdała słyszeć słaby odgłos trąby straży ogniowej — Lachowski biegnie do bramy*). Tak szybko idą po sobie niespodziewane wypadki, tak wali się na mnie zewsząd złość ludzka, że zaczynam czuć, iż ciągła walka nie jest rzeczą kobiety. Henryku! (*Sklada głowę na jego ramieniu*). Najdroższy mój, w snach dziewczyczych wymarzony... (*Sygnal straży ogniowej powtarza się — mięsza się głucho odgłos dzwonów*).

PROSZOWSKI.

Miękkim skrzydłem ogarnie cię miłość moja, iż spocziesz po okrucieństwie dni ubiegłych... (*Sygnal odzywa się po raz trzeci, głośniejszy, bliżej — odgłos dzwonów — oni, za-*

*patrzeni w siebie, nie uważają).* Najkrwawszy bój już po za nami!

SARA.

Serce moje dziwnie strwożone, jakby nie wierzyło w szczęście, jakby przeczuwało...  
(*Sygnał czwarty blisko—odgłos dzwonów daleki — daleka wrzawa — za sceną wołanie: „gore! gore!”*)

LACHOWSKI.

Pali się w mieście! Widać już lunę!  
(*Wpada na scenę Ambroży—za nim Lachowska—kilku ludzi przebiega w nieładzie przez scenę.*)

AMBROŻY.

Ogień w mieście, jaśnie panie!

LACHOWSKA.

To pożar za miastem!

SARA.

Boże! Moje przecucia... Czyżby jeszcze nie był koniec?  
(*Proszowski biegnie w głąb sceny i patrzy przez kraty.*)

LACHOWSKI (do Ambrożego).

Sikawki! Mój wierzchowiec! (*Do obecnych.*)  
Zaraz wrócę, do widzenia!

*(Ambroży wybiega. Za sceną ciągle sygnały, wrzawa, wołania biegnących ludzi; od strony bramy wznosi się krwawa luna. Lachowska biegnie do bramy. Proszowski wraca na środek sceny).*

SARA (tempo przyspieszone)

Przecucia mnie nie mylą...

PROSZOWSKI (j. w.)

Domyślasz się dobrze. To palą się składy moje, spichlerze... cały majątek! (*Chce biedz*).

SARA (powstrzymuje go).

Niech przepadną dostatki twoje. Głowy i rąk zabrać nam nie mogą, a praca mnie nie przeraża.

PROSZOWSKI.

Razem z temi składami runie podstawa mojej siły. Bez środków nie dokonam, co postanowiłem. (*Chce biedz*).

SARA (powstrzymuje go).

Dlaczego ty się nimi zajmujesz? Małoż jeszcze tej złości?

PROSZOWSKI.

Chcę, aby mnie widzieli. Może te pło-

mienie strawią ich zemstę, może ich zbrodnia przerazi. (*Chce biedź*).

SARA (powstrzymuje go).

Nie pójdziesz odemnie. Oni ciebie skrzywdzą, sponiewierają.

PROSZOWSKI.

Ujrzysz mnie jeszcze dziś. Nie obawiaj się...

SARA (puszcza go).

Więc idź, ale nie wracaj więcej.

PROSZOWSKI.

Sarol!

SARA.

Nie wracaj więcej. Te płomienie (*wskazuje na łunę*) spopieliły ostatecznie wstęgę, która mnie z nimi łączyła. Chociaż dusza moja nie ze źródła ich mądrości piła, nie zasadami ich tradycji się karmiła, w żyłach moich płynie mimo to krew żydowska. Córą Izraela jestem, a dzieci tego ludu nie przebaczą. Ja z tobą już dalej nie pójdę...

PROSZOWSKI (na pół z gniewem, na pół z oburzeniem).

Sarol!

SARA.

Nie pójdę, nie chcę... Chociażbyś mnie

miał odtrącić od serca swojego, chociażby mnie żal po miłości twojej miał strzaskać, jak grom samotną palmę — ich wiary, ich błogosławieństwa, już teraz nie przyjmę... do synagogi z tobą nie pójdę...

PROSZOWSKI.

Rozdrażniły cię wypadki dnia straszliwego.

SARA.

Nie, nie! Silniejszą jestem w tej chwili, aniżeli kiedykolwiek. Co mówię — czuję, wiem, pragnę gorąco. Henryku! Przygniałeś mnie dotąd wołą męża, zapominając, że i kobieta może myśleć, marzyć, chcieć. Ja nie chcę należeć do narodu, który woła każdym czynem, abym go nie szanowała, abym nim gardziła!

PROSZOWSKI.

Spoczynek nocny ukołysz strwożone serce twoje. Czekaj na mnie, wrócę jeszcze dziś... (*Wybiega. — Sara rzuca się za nim — staje i woła: „Henryku!“ — Pauza. — „Oni go zamordują!“ — Wraca Lachowska.*)

## SCENA V.

LACHOWSKA, SARA.

SARA (chwilę patrzy za Proszowskim z załamanymi rękami, potem odwraca się, ogląda w około, szu-



kając oparcia, a ujrawszy krzyż, idzie do niego chwiejnym krokiem, staje).

Ty, Boże miłosierdzia, serdeczny opieku-  
nie słabych i sponiewieranych, ojciec sie-  
rot, przyjacielu nędznych, przyjm łzy moje  
w ofierze. (*Rzuca się na kolana i płacze*).

LACHOWSKA (staje nad nią).

Łez nie powstrzymuj, dziecko drogie, bo  
spłynie z niemi żal z udręczonego serca.  
Niech płyną.

SARA.

Oto jam służebnica Twoja, smutny Boże  
miłości, jam przeczuła dawno istotę cier-  
pień Twoich, a teraz je rozumiem, przed  
niemi się korzę. Przyjm udręczenia moje  
i nie odrącaj strapionej od łona, w którem  
płonęły ognie, co cały ogarnęły świat. (*Łka  
z cicha*).

LACHOWSKA.

Za wszystkich umarł Odkupiciel.

SARA.

Gdyby mi nie przeznaczono dokonać, co  
dojrzało w tajnikach woli mojej, niech to  
wyznanie dojdzie przed tron Twój, Boże  
litości i niech mi otworzy bramy Twojego  
królestwa. Wysłuchaj mnie, Panie, albo-  
wiem błaga Cię służebnica Twoja, błaga  
Cię chrześciana .. (*Całuje stopy krzyża*).

LACHOWSKA.

Rozplecie się ostatni węzeł, który ciebie z tym ludem łączy, gdy przebaczysz prześladowcom swoim, jak On im winy przebaczył.

SARA.

Pani! (*Podnosi się, chwytając rękę Lachowskiej, całuje ją—Lachowska obejmuje ją*). Konieczneż to?

LACHOWSKA.

Tak nakazuje Bóg, którego pociechy wzywasz. Przebacz im!

SARA.

Bez radości wychodzi z serca mojego słowo przebaczenia... lecz... przebaczam im.

## SCENA VI.

POPZEDNIE, LACHOWSKI.

LACHOWSKI (*wbiega szybko—woła niespokojnie*).  
Ambroży! Ambroży!

SARA (*przypada do Lachowskiego*).

Jeszcze nie koniec tej złości? Gdzie on, Henryk?

LACHOWSKI.

Trudził się daremnie — poszedł w stronę  
ementarza — trzeba biedz za nim — bronić  
go — oni go śledzą niezawodnie.

SARA.

Spieszmy — spieszmy. Oni go zamordują!  
(*Biegnie w stronę zamku — za nią Lachowski*).

(ZASŁONA ZAPADA).

## AKT PIĄTY.

(Cmentarz żydowski. Na przodzie sceny grób ojca Proszowskiego, pomnik ozdobny. W głębi krajobraz otwarty; widać z dala słabnącą łunę pożaru; ta sama pora, co w akcie czwartym; pogodny wieczór sierpniowy, gwiazdy na niebie, błady sierp księżyca).

### SCENA I.

LACHOWSKI, SARA, AMBROŻY, STRZELEC.

*(W chwili, gdy się zastona podnosi, niema nikogo na scenie, potem wbiega z lewej strony Sara z rozplecionemi od szybkiego biegu warkoczami, z kapeluszem i zarzutką w ręku—za nią Lachowski, Ambroży, Strzelec—wszyscy trzej trzymają w ręku fuzye).*

SARA (ogłąda się niespokojnie w około).

Czyżby już odszedł? Ale nie. Nie widzia-no go wracającego. On tu być musi, może błądzi między grobami. (*Ogląda się*).

LACHOWSKI (który oglądał się także, szukając czegoś, przystępuje do pomnika Proszowskiego).

Tak, to tu. Pamiętam. Odprowadzałem cię do ostatniego mieszkania, stary druhu. Było wówczas więcej takich, jak ty i ja. (*Z smutkiem*). Były wtedy czasy inne.

SARA (do Ambrożego — ciągle niespokojna).

Czy nie słyszysz szelestu, Ambroży? Ktoś idzie.

AMBROŻY.

To ptak nocny przepląnął nad grobami, panienko.

LACHOWSKI (do pomnika).

Umierając, prosiłeś mnie o przyjaźń dla syna, gdyby wrócił do kraju i chciał między nami zamieszkać. Nie w ten sposób pragnąłem dotrzymać obietnicy, nie przeciw ludowi twjemu spodziewałem się stać przy boku Henryka. Czasy inne, inne, mój stary!... (*Kłęką na kamieniu grobowym — słuźba pochyla się — Sara obejmuje ramieniem płytę pomnika*). Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie i światłość wiekuistą, albowiem świetlana była dusza jego, a serce szczere, jak miłość prawego człowieka. (*Modli się w milczeniu — podnosi się z kolan — zcicha do Ambrożego*). Zdaje się, że zbliżają się jakieś kroki...



AMBROŻY (nasłuchuje — z cicha).

Jacyś ludzie idą ..

SARA (z cicha).

To oni... czuje ich trwoga moja... gdzie on? (*Ogląda się niespokojnie*).

LACHOWSKI.

Nie lękaj się, dziecino, jesteśmy przy tobie...

SARA.

Coś chwyta mnie za pierś .. za włosy... jak gdyby mnie ztąd odciągało.. pchało... ktoś mówi do mnie... zbliża się nieszczęście... czuję je... widzę .. Gdzie on? Henrykul (*Biega między grobami*).

LACHOWSKI.

Może pan Proszowski zaszedł w inną stronę cmentarza? (*Idzie w głąb — za nim służba*). Broni użyć tylko w razie ostateczności! (*Wychodzą za kulisy — scena próżna — z prawej strony wciskają się, skradając, Fruchtbaum i Cukerwasser*).

## SCENA II.

FRUCHTBAUM, CUKERWASSER.

FRUCHTBAUM (ogłąda się).

Ty nie słyszał, Aron, że tu ktoś chodził?

CUKERWASSER.

Ja nic nie słyszał.

FRUCHTBAUM.

Czy ty dobrze widział, że on tu szedł?

CUKERWASSER.

Żydki moje uczepliły się jego kroków, jak nędza głupiego.

FRUCHTBAUM.

A tej... tej... paskudnej nie widziałeś?

CUKERWASSER.

Reb Krongold chciał ją odebrać z Lachowa, ale ten pyszny goj jej nie dał. Żeby ją ją dostał... (*Robi ręką ruch, jakby kogoś dusił*). Ona wskazywała na mnie, kiedy mówiła o koniokradach. Nu, ja ją nauczę, co to koniokrady.

FRUCHTBAUM.

Aron, czy ty się nie boisz tego strzelanie?

CUKERWASSER.

Za co mam się bać? Ja konie prowadził nocami na Prusy, ja też strzelał.

FRUCHTBAUM.

Bo on tak wojuje z tem strzelaniem.

CUKERWASSER.

Ja też potrafię tak wojować.

FRUCHTBAUM.

Dlaczego jego jeszcze niema?

CUKERWASSER.

Szedł przez pole—tam. (*Pokazuje w stronę łuny pożarnej*). Pewnie patrzył na ten piękny ogień, ha, ha, ha!

FRUCHTBAUM (przygląda się przez chwilę łunie, potem z nienawiścią).

Ty był taki mocny, panie Proszowski, aj, aj, jaki mocny! Ty mówił do Fruchtbauma, jak mówi jasny szlachcic do podłego cham. Ty był taki mądry, mądrzejszy od samego rabina. Ty nas chciałeś uczyć pracować, ha, ha, ha! Gdzie teraz twoja moc i twój rozum? Ty... ty... co chciałeś wojować z żydami? Ogień pożarł twoją moc i twój rozum. W prochu twoja pycha, bo teraz ty nędzarz, teraz ty będziesz pracował, jak goje, ha, ha, ha!

CUKERWASSER.

Słyszę jakieś chodzenie.

FRUCHTBAUM.

Niech on tu przyjdzie, my jego przywitamy. On naszą świętą księgę rzucił o zie-

mię, my jego rzucimy o ziemię. (*Mówi za scenę szeptem*). Szmul, Abraham...  
 (*Wysuwa się, skradając, kilkunastu żydów*).

## SCENA III.

CUKERWASSER, FRUCHTBAUM, ŻYDZI.

FRUCHTBAUM.

Dużo macie kamieni?

1-szy ŻYD.

Wystarczy dla niego.

CUKERWASSER.

Rzucić go na ziemię i bić, aż będzie miał dosyć.

2-gi ŻYD (szeptem).

Wiemy jak zrobić.

FRUCHTBAUM.

Schować się za groby i czekać na znak.  
 (*Żydzi chowają się za kamienie grobowe — Cukerwasser w pobliżu pomnika Proszowskiego, z lewej strony sceny.— Z głębi wchodzi Proszowski, z głową pochyloną, bez kapelusza, krokiem wolnym*).

## SCENA IV.

PROSZOWSKI (sam).

(*W połowie sceny staje, odwraca się, spogląda na bledniejącą łunę*). Już bledniesz okrutny płomieniu, coś obrócił w niwecz dwóch pokoleń pracę i moje złudzenia. Razem z tobą zgasną marzenia szaleńca, któremu się zdawało, że tchnienie jednego serca rozgrzeje tysiące, że jednej duszy odblask nad całemi błysnie tłumami. Proch zostanie po tobie i jak proch rozwiały się cele dumnej młodości. Byłem jeszcze temu godzin niewiele taki silny... taki silny, jak niezłomna wola mężczyzny, który wie, że prawą zdąża drogą, ale oni znają źródło potęgi ziemskiej. Wytracili z rąk moich środki, zepchnęli mnie między proletaryat i stałem się niemocny, jak nędzarz, w którego ustach słowo natchnione szyderstwem tylko rozbrzmiewa. Pokonaliście mnie... współwyznawcy moi! Współwyznawcy moi? Ha, ha, ha! Oni moją wyznają wiarę? Ha, ha, ha!... (*Przez chwilę stoi, zasłoniwszy sobie twarz, potem idzie wolnym krokiem ku przodowi sceny; po kilku krokach znów przy staje, rozgląda się w około po grobach*). Ty lu was tu spoczywa po ohydny boju życia, tyle podłości, kłamstwa i samolubstwa zakrzepło pod osłoną matki ziemi, tyle bru-



dnym namiętności zastygło... Dlaczego nie na zawsze, dlaczego zostały między żyjącymi waszego posiewu owoce, które potoki łez wydają i jęki rozpaczyl (Podnosi oczy *to niebo*). I ty, Adonai, słyszysz od wieków ten płacz straszliwej skargi, wydobywający się z piersi przez lud twój pokrzywdzonych i nie zeslesz nikogo, ktoby zdjął hańbę z całych pokoleń? Adonai, Ty nie jesteś już Bogiem Izraela! (*Idzie szybko do pomnika ojca*). Przebacz mi, duchu ojca, przebaczn bliźniacemu, ale człowiek... jest tylko człowiekiem. (*Siada na kamieniu grobowym, obejmuje płytę kamienną ramieniem—krótka pauza - mówi dalej głosem stłumionym, jakby się modlił*). Przebacz mi, duchu ojca, bo ty wiesz najlepiej, że istoty mojej nie skalala ani jedna myśl nieszlachetna. Wszakżeż pamięć twojego czystego żywota szła za mną przez kraje i morza, i oświecała drogę, którą wracałem do swoich; wszakżeż twoje to marzenia wcielić chciałem. Wcieliłem je — zaprawdę... (*Pauza — głosem zupełnie stłumionym*). I oto stoję na drogach rozstajnych, wśród łuny pożaru i krzyków motłochu, jako nędzny wędrowiec, przed którym zamknęły się wszystkie progi tej ziemi, uboższy od najuboższego, albowiem nie mam nikogo, ktoby mnie swoim nazwał! (*Z po za grobu podnosi się Fruchtbaum*). Których umi-

łowalem, odtrącili mnie od łona swego, jak się przeklętego odtrąca odszczepieńca, którzy zaś mnie do siebie przygarniają, nie z mojej krwi idą. (*Ciągle stłumionym głosem*). Ześlij jasne blaski na oczy moje, duchu ojca, oświeć rozum syna, bo go ciemności ogarniają takie gęste... coraz gęstsze... Świadomości mojej gwiazda zaczyna gasnąć... nie widzę już drogi przed sobą. (*Podnosi głos*). Co mam czynić... wskaż mi drogę... (*Podnosi się z grobu*). Mów do mnie wyraźnie, duchu ojca (*Fruchtbaum daje żydom ręką znak — podnoszą się z po za grobowców*) niech wiem, komu oddać resztę życia...

## SCENA V.

PROSZOWSKI, FRUCHTBAUM, CUKERWASSER,  
ŻYDZI.

FRUCHTBAUM (wysuwa się naprzód).

Przeklęty goju, nie twoje tu miejsce!

ŻYDZI (razem).

Goj, goj! (*Rzucają na Proszowskiego kamieniami*).

PROSZOWSKI.

Zaprawdę, przemówiłeś wyraźnie! Rozumiem znaczenie tej ostatniej obelgi...

ŻYDZI (razem).

Goj, gojl... (*Rzucają kamieniami*).

PROSZOWSKI (wydobywa z kieszeni paltota rewolwer).

Ustąpcie, bo się krew poleje! (*Mierzy do żydów—ci usuwają się*). Jam już nie wasz! Małoż wam jeszcze?

FRUCHTBAUM (woła).

Aron!

(*Cukerwasser, który stał z tyłu, za plecami Proszowskiego, skrada się i chwytą rewolwer — za sceną wołanie Sary: „Tam, tam, oni są tam!”*)

## SCENA VI.

PROSZOWSKI, LACHOWSKI, SARA, AMBROŻY,  
STRZELEC, FRUCHTBAUM, CUKERWASSER,  
ŻYDZI.

FRUCHTBAUM.

Rzucić go o ziemię! (*Żydzi rzucają się na Proszowskiego, chwytają go za suknie; w tej samej chwili wbiega na scenę Sara i spostrzega scenę z Proszowskim*).

SARA (z rozpaczą).

Tam, tam!

(*Wbiegają: Lachowski, Ambroży, Strzelec*).

LACHOWSKI.

Z drogi, łotry, bo strzelać każę!

ŻYDZI (cofają się na widek przybyłych).  
Goje!

FRUCHTBAUM (grożąc Lachowskiemu).

Żebyś przepadł!

*(Cukerwasser szamocze się z Proszowskim, usiłując wyrwać rewolwer; w chwili, gdy Sara podbiega do pomnika Proszowskiego, Proszowski się do niej odwraca, Cukerwasser wyrwa mu broń z ręki).*

CUKERWASSER.

Ha! To ona! *(Strzela, przez chwilę patrzy na Sarę czy trafił, potem rzuca rewolwer i ucieka).*

*(Sara wydaje okrzyk, chwytą się za bok, chwieje się, potem robi krok naprzód, przytrzymuje się drugą ręką pomnika — żydzi usuwają się przerażeni).*

SARA.

Spełniły się dni moje.

LACHOWSKI.

Mordercy!

PROSZOWSKI.

Saro! *(Chwytą Sarę w pól).*

SARA.

•Daremną jest miłość wasza... (*Prostuje się nagle z wielkim wysiłkiem woli*). Byćżeby to mogło?... Ja miałabym spoczywać tu... tu... wpośród moich morderców? Litości!... Boże miłosierdzia—nie dopuść... nie pozwól... (*Stania się i pochyla—Proszowski chwycił ją w objęcia*).

LACHOWSKI (do służby).

Wody! Na Boga, wody!

(*Ambroży wybiega za kulisy*).

PROSZOWSKI (z rozpaczą).

Taki bezsilny jestem, że nawet jej prośby spełnić nie mogę. (*Do Lachowskiego*). Przyjacielu... ojczu, bierzmy ją, nieśmy do waszego kapłana.

SARA.

Wysłuchaj mnie, Panie...

LACHOWSKI.

Każdy z chrześcian ma prawo dopełnić chrztu. (*Wola za scenę*). Ambroży! Ambroży!

FRUCHTBAUM (zbliża się do Sary).

Gardziłaś nami, a nasza pokryje cię ziemia. Ona nasza!



ŻYDZI (razem).

Ona nasza. (*Zbliżają się*).

SARA.

Wysłańcy piekła... szatany... zbliżają się ..  
Henryku!...

LACHOWSKI.

Ambroży!

PROSZOWSKI (*chwytą strzelbę Lachowskiego, po-  
wstrzymuje żydów*).

Po trupach waszych do innego przejdę  
świata!

(*Wbiega Ambroży z wodą—Lachowski macza  
ręce w wodzie, podchodzi do Sary, skrapia  
jej głowę*).

LACHOWSKI.

Saro, ja cię chrzczę w imię Ojca i Sy-  
na i Ducha Świętego, Amen. (*Do żydów*).  
Odstąpcie! Teraz bronią jej prawa krajowe.  
Ona już do was nie należy. Odstąpcie, bo  
krew wasza popłynie. (*Daje znak służbie—  
Ambroży i strzelec podnoszą broń — żydzi  
usuwiają się na stronę, szemrzą—Sara chwy-  
ta rękę Lachowskiego, całuje ją*).

SARA.

Dziękuję ci, panie... ojcze...

PROSZOWSKI (klęka przed Sarą—bierze ją w ramiona).

Saro, Saro! ty mnie nie opuścisz!... to być nie może!... nie teraz!... jam taki samotny!...

(*Lachowski, Ambroży, Strzelec otaczają Sarę*).

SARA.

Henryku... nie było... zapisano w księdze naszych... przeznaczeń... abyśmy szli razem... przez... ży...cie... niechże pro...chy two...je... spoczną... kiedyś... obok .. mo.. ich. Bła...ga cię o to kona...ją...ca...

PROSZOWSKI (do pomnika ojca).

Przemówiłeś do mnie wyraźnie, ojcze, o! tak wyraźnie... (*Do Sary*). Miejsce moje obok ciebie, Saro...

SARA.

Dziękuję... by...waj...cie... mi zdro...wi... do... widzenia... tam... tam... na... świecie... lepszym... (*Zaczyna konać, przechyla się na ramię Proszowskiego, zwraca twarz w niebo — Lachowski i służba klękają, odkrywają głowy*).

LACHOWSKI.

De profundis clamavi ad te, Domine...

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-550 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

167

SARA.

Już... idę... idę .. przyjm duszę... wyznaw-  
czyni swojej... (*Milczy*).

LACHOWSKI.

Domine, exaudi orationem meam...

SARA (która patrzyła w niebo z błogim zachwy-  
tem).

Achl (*Umiera*).

(ZASŁONA ZAPADA).

K O N I E C.









Tegoż autora wyszły w Warszawie - od r. 1882.

---

### Studia historyczno-literackie.

- 1) Dramat niemiecki XIX w.
- 2) Epopeja rycerska Niemców.

### Studia polemiczno-literackie.

- 3) Henryk Heine.
- 4) Pozytywizm warszawski.
- 5) Typy i ideały pozytywnych beletrystów polskich.
- 6) Żydzi na tułactwie;—kompilacja historyczna.

### Powieści.

- 7) Za winy ojców.
  - 8) Z miłości.
  - 9) Z kulą u nogi.
  - 10) Stłumione iskry.
  - 11) Nad Wartą.
  - 12) Pogrom Rozenbergów.
-









K

4143